NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 13 lipca 1907. Nr. 28

Zaburzenia w Chorwacyi.

(Treść na stronie 2).



Zaburzenia w Chorwacyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Krwawymi śladami zaznaczyły się pierwsze dni rządów nowego bana chorwackiego, dra Rakodczaya. Było to zresztą do przewidzenia. Wyznaczony na to stanowisko przez rząd węgierski wbrew woli sejmu chorwackiego i przez ludność całego kraju nielubiany, musiał się ban spotkać z objawami niechęci i z demonstracyami przeciw jego osobie skierowanemi.

Sytuacyę w stosunkach węgiersko-chorwackich zaostrzył zwłaszcza zamach stanu, jakiego dopuścił się niedawno sejm węgierski, uchwalając na wniosek min. handlu Kossutha, wbrew wszelkim przepisom regulaminu, nową pragmatykę dla urzędników kolejowych a tem samem gwałcąc prawa języka chorwackiego. Uchwała ta spowodowała secesyę posłów chorwackich ze sejmu węgierskiego, a w dalszym ciągu szereg demonstracyj w całej Chorwacyi.

Ludność chorwacka uważa Węgrów za odwiecznych swych wrogów i ciemiężycieli. Istotnie bowiem żywy ruch umysłowy i polityczny, rozwijająca się coraz bardziej świadomość narodowa Chorwatów, spotykały się zawsze z represyami ze strony rządu, który dąży konsekwentnie do zmadyaryzowania wszystkich krajów i narodowości, wchodzących w skład korony św. Szczepana. Niechęć ta, podsycona ostatnimi wypadkami w sejmie oraz nominacyą na stanowisko bana niesympatycznej osobistości, znalazła ujście w szeregu zaburzeń, których widownią była i jest cała prawie Chorwacya.

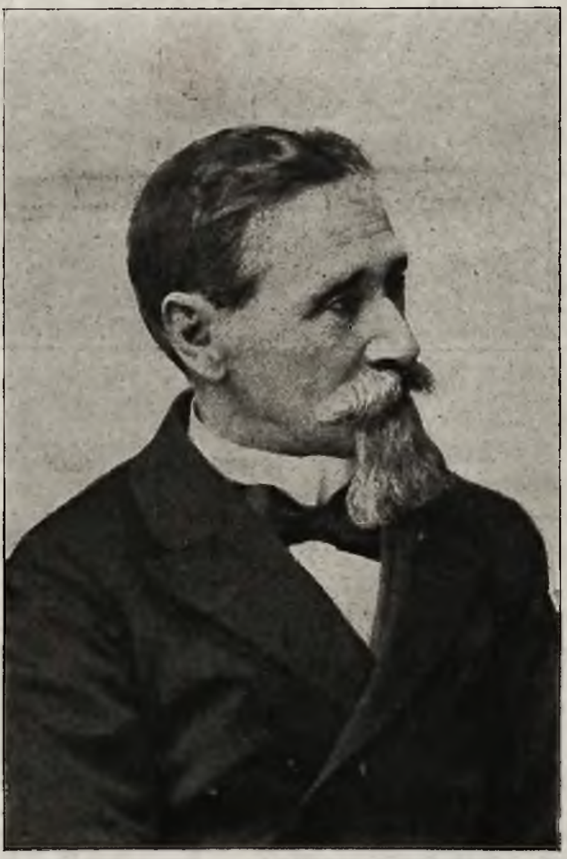
Rozpoczął się ten ruch od zgromadzeń ludowych i meetingów, na których ludność zaprotestowała przeciw postępowaniu rządu węgierskiego. Następnie odbyło się kilka demonstracyj przeciw nowemu banowi. W pochodach urządzanych w Zagrzebiu i innych miastach, brały udział setki osób, wznosząc okrzyki wrogie przeciw dr. Rakodczayowi.

W niektórych miejscowościach na prowincyi doszło nawet do krwawych starć. W miejscowości Nowa Kapela chłopi usiłowali wypędzić urzędników ze stacyi kolejowej. Urzędnicy się zabarykadowali a żandarmerya tłum rozpędziła, przyczem użyto broni. Ofiarą krwawego zajścia padło kilku chłopów chorwackich, którzy odnieśli cięższe lub lżejsze rany.

Illustracya nasza przedstawia manifestacyę na dworcu w Zagrzebiu, w chwili przybycia posłów chorwackich z Budapesztu.

Ustąpienie profesora-filantropa.

Po 42 latach pracy nauczycielskiej na katedrze pediatryi w krakowskim uniwersytecie Jagiellońskim, ustępuje z końcem bieżącego roku szkolnego



Ustąpienie profesora-filantropa: Dr. Maciej Leon Jakubowski, profesor pediatryi w uniwersytecie Jagiellońskim, ustępujący z końcem roku szkolnego.

profesor dr. Maciej Jakubowski z zajmowanego stanowiska i przechodzi w stały, zasłużony stan spoczynku.

Prof. Jakubowski jest z urodzenia krakowianinem i w rodzinnem swem mieście spędził całe życie. Urodzony w 1837 r. ukończył gimnazyum a następnie wydział medyczny uniwersytetu Jagiellońskiego, poczem poświęciwszy się specyalnie studyom chorób dziecięcych, ogłosił w tym kierunku kilka poważnych prac. W roku 1863 został docentem a w 1873 profesorem pediatryi w Krakowie. Jako jeden z najwybitniejszych pediatrów współczesnych, położył w czasie swej działalności profesorskiej ogromne zasługi i wychował kilka pokoleń głośnych dziś lekarzy chorób dziecięcych. Od wielu lat był też kierownikiem krakowskiej kliniki pediatrycznej.

Działalność naukowa prof. Jakubowskiego nie ograniczała się na wykładach. Zamiłowany w swym przedmiocie, napisał znakomity ten uczony sporą ilość dzieł naukowych, które zajmują poważne stanowisko w literaturze medycznej.

Imię znakomitego profesora przejdzie do historyi Krakowa także z innego tytułu. Oto dzięki jego właśnie usiłowaniom powstał w Krakowie przed laty szpital dziecięcy pod wezwaniem św. Ludwika. Setki chorej dziatwy znajdują tam rokrocznie bezpłatne umieszczenie, znajdują w nim ratunek i pomoc lekarską.

Drugiem pamiętnem dziełem zasłużonego profesora jest stworzenie kolonii wakacyjnej w Rabce. Wyjazd do kąpiel w razie choroby był dawniej dostępnym jedynie dziatwie rodziców zamożnych. Dziś dzięki zabiegom zacnego uczonego nawet najuboższe dziecię może wyjechać do Rabki, by tam znaleść ulgę w swych cierpieniach.

Za te jego dobre, zbożne uczynki należy mu się też wdzięczność całego społeczeństwa.

Prof. Jakubowski rozstaje się na razie tylko z katedrą uniwersytecką, rozstaje się z młodzieżą, której przez tyle lat był przewodnikiem. Szpitalem św. Ludwika opiekować się będzie i nadal. Z powodu ustąpienia z profesury, żegnali go w ubiegłym tygodniu słuchacze i słuchaczki medycyny w dniu, w którym odbył się ostatni jego wykład. Imieniem młodzieży przemówił jeden ze starszych medyków, a zebrane licznie słuchaczki obrzuciły ukochanego profesora kwiatami.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret prof. Jakubowskiego oraz grupę, przedstawiającą ustępującego profesora wraz z gronem słuchaczek i słuchaczów.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.

Ustąpienie profesora-filantropa: Prof. dr. M. Jakubowski (X), ustępujący z katedry pediatryi uniw. Jag. w otoczeniu słuchaczek i słuchaczów, po ostatnim swym wykładzie w dn. 5 lipca.

Jubileusz nestora naszych muzyków.

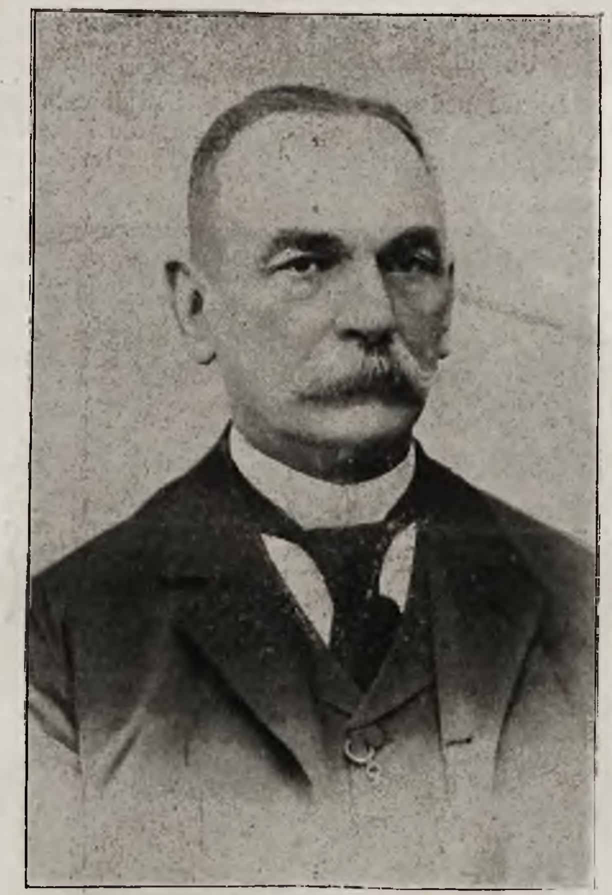
Dr. Władysław Żeleński, dyrektor konserwatoryum muzycznego w Krakowie, znakomity i głośny muzyk i kompozytor polski, święcił w ubiegłym tygodnin 70 rocznicę urodzin, a równocześnie 50-lecie swej kompozytorskiej działalności. W r. 1857 bowiem pojawiły się pierwsze jego utwory, już wówczas — mimo młodego wieku autora — znamionujące niezwykłe jego zdolności i polot prawdziwie i szczerze poetycki.

I od tego czasu pracował Żeleński wiernie i wytrwale pod sztandarem sztuki narodowej, zdobywając coraz nowymi, coraz znakomitszymi płodami twórczości sławę i imię rozgłośne. Podstawę zaś jego rozgłosu stanowi nietylko talent z Bożej łaski, ale i praca sumienna, studya wieloletnie, którym oddał się z całem poświęceniem. Toteż opanowawszy olbrzymi, nie dla każdego nawet umysłu dostępny materyał teoretyczny kontrapunktu i harmonii, zajął pierwsze miejsce wśród polskich pedagogów-muzyków.

Twórczość wielkiego naszego muzyka zaznaczyła się w okresie 50-letniej pracy całem mnóstwem przepięknych pieśni solowych i choralnych, uwertur koncertowych, kwartetów, triów, koncertów itd., a przedewszystkiem operami: „Konrad Wallenrod“, „Goplana“, „Janek“ i „Stara baśń“. A wszystkie dzieła Żeleńskiego cechuje nietylko erudycya niepospolita, nietylko inwencya artystyczna, ale — co przedewszystkiem podkreślić należy — na wskróś polski, swojski charakter. Tem właśnie zdobył sobie Żeleński taką ogólną, taką powszechną sympatyę.

Koroną dotychczasowej działalności kompozytorskiej jubilata jest jego ostatnia opera: „Stara Baśń“, z którą publiczność krakowska będzie miała sposobność zapoznać się w ciągu najbliższych już dni. Nie wchodząc tu w ocenę tej prześlicznej opery, zaznaczyć tylko należy, iż premiera jej w lwowskim teatrze zamieniła się w jedną wielką owacyę na cześć sędziwego twórcy, a zapał i serdeczność zgromadzonej publiczności wzrastały po każdym akcie. Oklaskami hucznymi, brawami, wywoływaniem i kwiatami w niezmiernej ilości, dała publiczność lwowska wyraz zachwytowi nad pięknością wspomnianego dzieła Żeleńskiego.

Poświęcając tych kilka słów chlubie naszej muzyki, dołączamy do nich serdeczne i szczere życzenia, by w długie jeszcze lata, ciesząc się zdrowiem jak najlepszem, śpiewał nam na swej lutni pieśń nadziei i zwycięstwa.



Jubileusz nestora naszej muzyków: Dr. Władysław Żeleński, znakomity kompozytor polski.

Epilog tragedyi miłosnej.

Najnowsza szkoła kryminalistyczna, ze sławnym Włochem Lombroso na czele, uważa zbrodniarza tylko za człowieka chorego, dla którego miejsce nie w więzieniu, lecz w szpitalu. Nie brak i innych teoretyków, którzy twierdzą, że w każdym człowieku czai się popęd do morderstwa, powstrzymywany tylko przez wykształcenie, przez religię, przez etykę, a przedewszystkiem przez silną wolę.

Uwagi tego rodzaju nasuwają się przy czytaniu sprawozdań z sensacyjnego procesu, który toczył się ostatnimi dniami w Brukseli. I podnieść należy, że sympatye czytelników były przeważnie po stronie młodego, bo zaledwie 18-letniego zabójcy, pomimo obciążających okoliczności, iż dopuścił się tego czynu zupełnie świadomie, z namysłem, że pozbawił życia swego przeciwnika 6 kulami rewolwerowemi. Prawda, zbrodnia zawsze pozostaje zbrodnią, lecz pobudka była tutaj szlachetna: obrona czci siostry, a przez to i czci własnego imienia.

Krwawy ten dramat rozegrał się rok temu w najwyższych sferach arystokracyi brukselskiej, w rodzinie posła chilijskiego Waddingtona, między synem jego Karolem, a sekretarzem poselstwa, Balmacedą. Sprawdziło się i tutaj przysłowie francuskie: *cherchez la femme* — szukajcie kobiety.

Sprawa tak się przedstawia: Młody, 22-letni sekretarz Balmaceda, o gorącej południowej krwi, zakochał się wkrótce po przybyciu do Brukseli w uroczej córce posła, która choć starsza od niego, odznaczała się jednak niezwykłą urodą. Zachwycająco piękna i namiętna Adelajda, zwana zdrobniale Yayą, sama charakteryzowała się słowy: „jestem kobietą z ognia“. I sprawdziło się to orzeczenie, odpłacała bowiem swemu kochankowi gorącem uczuciem. Miłość ich wkrótce przekroczyła granice czystej, platonicznej, a stała się namiętną, związkiem krwi—i krwią też została przypieczętowana.

Narazie jednak nic nie znamionowało śmiertelnego zakończenia. Młodzi kochankowie mieli po swojej stronie brata panny Yayi, Karola, który z miłości dla siostry i życzliwości dla przyjaciela, późniejszej swej ofiary, ułatwiał zakochanym schadzki. Przeciągały się one nieraz po za zwykłą miarę, bo pewnego razu zakradł się Balmaceda do sypialnego pokoju swej ukochanej i przebył tam 36 godzin, niespostrzeżony przez nikogo. Ojciec panny Yayi, pełen taktu i powagi dyplomata, a przytem namiętny amator muzyki, mało zwracał uwagi na sprawy rodzinne. Nagle jednak coś się popsuło w tej zakochanej parze. Raz np. w ogrodzie, kiedy zabawiali się w towarzystwie brata Yayi i przyjaciela Balmacedy, pianisty Rensifa, Balmaceda dobył nagle rewolweru i przyłożył go do skroni mniemanej narzeczonej, ta jednak spokojnie odparła: „jesteś zanadto tchórzem, abyś potrafił mnie zabić“ i na tem scena ta się skończyła, zapowiadała jednak jakieś nieporozmienie. Balmaceda coraz rzadziej odwiedzał ukochaną, a nawet począł starać się o urlop, by powrócić do Chili, gdzie cieszył się opinią zawodowego bałamuta.

W dniu jego odjazdu młody Waddington ujrzał matkę swą, całą we łzach. Zapytana o powody, odrzekła, iż Balmaceda znieważył jej córkę, że nie chce się z nią żenić i dlatego wyjeżdża.



Epilog tragedyi miłosnej: Poseł Waddington, ojciec oskarżonego.



Epilog tragedyi miłosnej: Pani Waddington, matka oskarżonego.

Karol przyjął tę wieść napozór spokojnie, pojechał tylko do mieszkania Balmacedy, zabierając ze sobą dwa rewolwery i czek na 2500 franków, jaki nadszedł dla uwodziciela jego siostry. Jaka scena rozegrała się między dwoma do niedawna przyjaciółmi, niewiadomo. Śledztwo przedstawia ją tak. Gdy Balmaceda zapytany przez Waddingtona, odpowiedział, iż z jego siostrą żenić się nie będzie i podpisywał najspokojniej czek na otrzymane pieniądze, wtedy Karol strzelił do niego dwukrotnie, raniąc go w oko i szyję. Balmaceda padł na sofę, a wtedy brat Yayi dał do niego jeszcze trzy strzały, kładąc go trupem.

Tak się miłość skończyła. Egzotyczna panna Yaya posłała służącego, aby na piersi zabitego kochanka złożył różaniec, na którym modliła się codziennie.

Sprawa ta już samą treścią budziła wielkie zainteresowanie w Brukseli, a dodawała jej sensacyjności obrona adwokatów, gdyż obrońca Balmace-



Epilog tragedyi miłosnej: Bohaterowie sensacyjnej tragedyi: Karol Waddington, zabójca. Sekretarz Balmaceda, zabity przez brata kochanki.

dy, Bonnevie, odczytał na rozprawie listy panny, pisane do kochanka. Listy te, pełne ognia i namiętności, zawierają tyle drastycznych szczegółów, iż słyszeć je może tylko zakochany z ust ukochanej. Przy czytaniu też tych listów powstał w sali sądowej taki hałas, takie oburzenie przeciw adwokatowi, który zdradzał publicznie tajemnice kochanków, iż musiał zaprzestać czytania, zwłaszcza że panie groziły mu obiciem parasolkami. Oskarżony Waddington zemdlał na sali podczas tej sceny. Dodać należy, iż rodzina Balmacedów domaga się od rodziny Waddingtonów tylko jednego franka za śmierć syna, aby okazać, że uwiedziony był przez zepsutą pannę, która już poprzednio miała kochanków.

Sąd wśród oklasków na sali ogłosił werdykt uniewinniający oskarżonego Karola Waddingtona.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają: posiedzenie sądu, portret oskarżonego i jego rodziców oraz portret ofiary, rysowane z natury przez jednego z francuskich illustratorów, podczas rozprawy.



Epilog tragedyi miłosnej: Sala sądowa w Brukseli podczas zeznań posła Waddingtona.



Zmiany w armii austryackiej: Arcyks. Fryderyk, nowo mianowany komendant obrony krajowej. (Do artykułu na stronie 10).

Ustąpienie zasłużonego pedagoga.

Liczba pedagogów, którzy wychowali całe pokolenia, pod których okiem wyhodowało się sporo talentów i ludzi zajmujących dziś w społeczeństwie poważne i poważane stanowiska, co roku się zmniejsza. Jedni schodzą z niwy pedagogicznej dopiero ze śmiercią, drudzy usuwają się, skończywszy pewną liczbę lat służby.

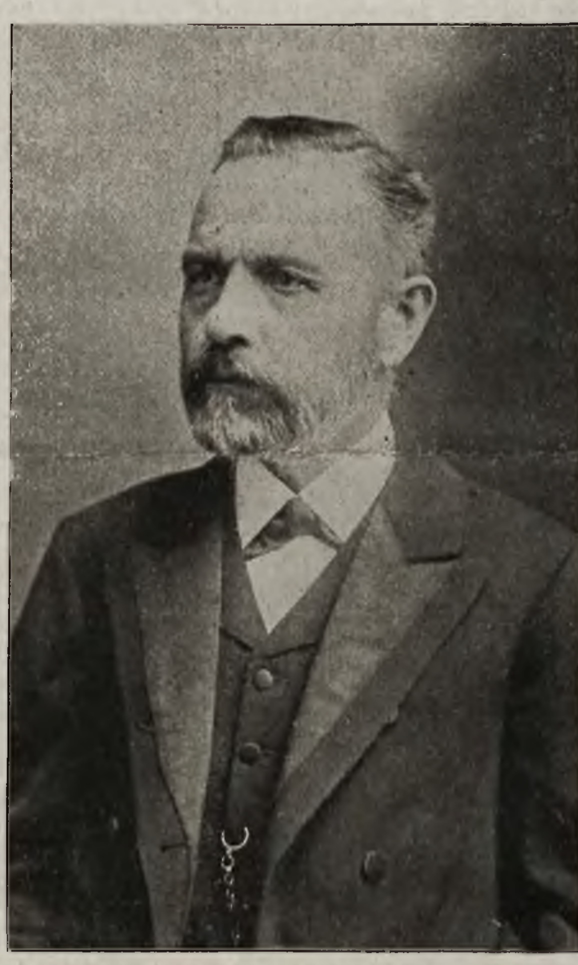
Jednym z tych ostatnich jest zasłużony pedagog Edward Fiderer, profesor języków klasycznych w lwowskiem gimnazyum Franciszka Józefa. Człowiek wysokiej wiedzy, rozmiłowany w filologii klasycznej i całą duszą przedmiotowi temu oddany, zdobył sobie wieloletnią pracą nauczycielską miłość wśród uczniów, a szacunek i uznanie kolegów. Profesor Fiderer należał zawsze do tych nauczycieli. którzy oceniając doniosłe znaczenie studyum języków klasycznych, oraz lektury autorów greckich i łacińskich, starali się zadanie młodzieży ułatwić, uprzystępnić i kładli większy nacisk na materyę niż na formę. Godziny prof. Fiderera należały też zawsze do najmilszych, doświadczony ten pedagog bowiem umiał je jowialnymi dowcipami, humorem, który go nigdy nieopuszczał, urozmaicać i uprzyjemniać.

Niemniej jednak traktował on swoje przedmioty bardzo poważnie i prawdziwie naukowo, czego dowodem obfity plon, jaki w literaturze naszej w tym kierunku pozostawia. Prócz mnóstwa podręczników i komentarzy do klasyków, opracował prof. Fiderer znaną „gramatykę języka greckiego“, podręcznik używany we wszystkich gimnazyach od wielu lat.

To też z żalem żegnało ustępującego profesora całe gimnazyum Franciszka Józefa, zarówno profesorowie, jak uczniowie.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret prof. Fiderera.



Ustąpienie zasłużonego pedagoga: Prof. Edward Fiderer.

Konsul niderlandzki we Lwowie.

Rozpoczęta przed kilku laty a wzmagająca się wciąż jeszcze akcya za uprzemysłowieniem kraju naszego, coraz bardziej zwraca uwagę zagranicy na Galicyę, z którą by chętnie chciano wejść w stosunek handlowy i to tak pod względem importowym jak i eksportowym. Dowodem tego nowo powstałe w ostatnich czasach konsulaty we Lwowie, do których w ostatnich dniach przybył jeszcze jeden, a mianowicie królewsko-niderlandzki.

Konsulem tym królowa holenderska zamianowała zaszczytnie znanego adwokata lwowskiego i dyrektora banku melioracyjnego dr. Kazimierza Witkowskiego, którego cesarz po udzieleniu mu exequatur już zatwierdził.

Nowo mianowany konsul niderlandzki urodził się w r. 1864 we Lwowie i tu też w r. 1888 uzyskał tytuł doktora praw. Kancelaryę adwokacką otworzył w r. 1897 a w roku zeszłym objął dyrekcyę Banku melioracyjnego.

Nowo mianowany konsul postara się prawdopodobnie o szersze ożywienie stosunków handlowych Galicyi z Niderlandami.

Rozwój niektórych gałęzi przemysłu krajowego, jak koszykarstwa, wyrobu kilimów, makatów itd., ułatwi nowemu konsulowi nawiązanie tego rodzaju stosunków. Wobec zaś powodzenia, jakiem te wyroby cieszą się w tych krajach zagranicznych, dokąd je obecnie, głównie dzięki staraniom krajowego Związku przemysłowego, eksportują, należy się spodzieć, że i państwo uroczej królowej Wilhelminy uzna ich dobroć i skorzysta na dużą skalę z możności ich nabycia.



Zmiany w armii austryackiej: Bar. Albori, nowomianowany generalny inspektor wojsk. (Do artykułu na str. 10).

* * *

W dzisiejszym numerze podajemy Sz. Czytelnikom portret mecenasa Kazimierza Witkowskiego, nowomianowanego konsula niderlandzkiego.

Na wułkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

31 Ciąg dalszy.

— Cóż mam zrobić? Uwolnić nie mogę w żaden sposób... a masz mi wyprawiać takie sceny, wolę wyjść z domu — wstał.

— Ani się waż, zawołała ostro, — bo będzie nieszczęście.

Usiadł na dawnem miejscu, zapalił papierosa i patrząc w okno, przez które wpadało światło chmurnego dnia, milczał.

Żona wstała i całując go w czoło, prosiła dalej:

— Nie gniewaj się... uniosłam się cokolwiek... więc nie możesz jej uwolnić?

— Nie... sąd rozstrzygnie.

— Ale to chyba możesz zrobić, aby obchodzono się z nią dobrze?

— Nie bój się, nie skrzywdzą jej.

— Każ jej dać osobną celę, własną pościel i żywność z miasta.

— To mogę zrobić... dla świętego spokoju — wstał z krzesła.

— Idziesz zatelefonować? Dziękuję ci, to bardzo dobrze.

— No, nie miałem tego zamiaru, ale niech będzie.

— I wrócisz?... — zawołała za odchodzącym.

— Dobrze — a gdy wrócił, rzekł z westchnieniem ulgi:

— Już poleciłem.

— A teraz mam do ciebie prośbę...

— Jeszcze... tego już za wiele! — zawołał z gniewem.

— A zaraz krzyczysz!... Zaczekaj chwilę. To, co zrobiłeś, to zwykły ludzki obowiązek, a proszę cię o to, aby ona była szybko przesłuchana i oddana pod sąd.

— Hm... jeśli chcesz koniecznie, zrobię i to. Poszlę mego urzędnika,

— A kogo?

— Jeśli mi przyrzekniesz... a zresztą poszlę pierwszego z brzegu.

— Jeszcze jedno... powiedz mi nazwiska sędziów.

— Na co ci?

— Jeśli ty nie chcesz stanąć w obronie niewinnej dziewczyny, pójdę sama, a nie powiesz mi nazwisk, zawsze się dowiem.

— No, no, daj spokój... sam wyjaśnię.

— Pamiętaj, że przyrzekłeś!

— Wiem... ale Maryo Pawłówno te dzisiejsze przysmaki drogo mnie kosztowały.

— Mój kochany, czyż ci żal, że spełniłeś dobry i szlachetny uczynek?

— Et, nie dogadam się dzisiaj z tobą — machnął ręką i wyszedł.

Matka poszła do Koli i uwiadomiła go, że ojciec telefonował do ratusza o ulgi dla uwięzionej, że wyszle swego urzędnika, aby śledztwo przyspieszyć i sam wstawi się za nią u sądu wojennego.

Kola nie spodziewał się tak świetnych rezultatów z pośrednictwa matki i uszczęśliwiony, uściskał i wycałował matkę.

— Idę teraz do jej brata... jednak ojciec nie jest taki zły; ależ mama musiała się naprosić...

— Nie tak bardzo... po wyjaśnieniu sprawy i gdy mu powiedziałam, że tobie tak zależy na siostrze przyjaciela, zgodził się, bo on dobry i kocha ciebie...

— Dziękuję mamie... i ojcu podziękuję.

— Wiesz Kola? Lepiej nie poruszaj tej sprawy...

ROZDZIAŁ X.

Wanda w czasie pochodu do ratusza szła dumna, wyprostowana, spoglądając na przechodzącą publiczność obojętnie, szukając wśród niej twarzy znajomej.

Publiczność na trotuarach przystawała, zaciekawiona konwojem, a do uszu przechodzących więźniów dolatywał szmer współczucia i westchnienia; zwłaszcza widok Wandy, młodej, ładnej, wyróżniającej się wśród otoczenia ruchami i ubraniem, budził współczucie ogólne.

Już wieczorem, przy palących się latarniach, doszli do ratusza, gdzie w otoczeniu żołnierzy stali dosyć długo, póki dyżurujący urzędnik po przeprowadzonej rewizyi nie oddał ich dozorcy więźniów.

— Gdzie ja ich pomieszczę — mruczał gniewnie dozorca — pełno ich u mnie, jak śledzi — i rozdrażniony, patrzał zły na więźniów.

Gdy nadeszli stróże więzienni, krzyknął:

— Te dwie — wskazał na Wandę i malarzową — daj do wspólnej celi.

— Może będzie ciasno? — zrobił cichą uwagę.

— Nie twoja rzecz, durniu, ruszaj!

Stróż poprowadził je na wąski, parterowy korytarz, włożył klucz do drzwi, zamek zazgrzytał, i otwierając drzwi:

— Żywo... ruszajcie się — popchnął wahającą się Wandę i malarzową.

Równocześnie z głębi celi podniósł się krzyk kobiet:

— Niema miejsca!... Dusimy się!... Nie wpuścić ich!...

— Milczeć szelmy! — zawołał stróż, zatrzasnął ciężkie drzwi i znów zazgrzytał klucz w zamku...

Wanda i malarzowa, trzymając się za ręce, stały w celi bezradne, nie mogąc na razie z powodu słabego oświetlenia nic dojrzeć. Kłębiły się jakieś niewyraźne postacie, a narzekania na ścisk nie ustawały.

W powietrzu czuć było wilgoć, brud stary, wyziewy kwaśne i alkoholiczne, pomieszane z wydzielinami ludzkiemi. Wanda nie mogła oddychać na razie, czuła mdłości, drapanie w gardle, pieczenie w ustach i zaniosła się od kaszlu.

— To ci dama — zaśmiał się ktoś chryplisie — nie smakują jej perfumy tutejsze... Przyzwyczaisz się!

Inne kobiety wtórowały, a jedna z nich z pijacką twarzą, podeszła do Wandy i biorąc jej paltocik w palce:

— Powiadam wam, elegantka; a który chłop kupił ci to... daj adres, pójdę do niego.

— Wyrzuciłby cię na łeb — zawołała inna i zbliżywszy się, obmacywała suknię, druga kapelusz, trzecia, podniósłszy suknię, oglądała buciki.

— Fajna bunia — krzyknęła któraś — a gdzie cię capnęli, z chłopem? czy kradłaś?... Czyś niemowa?

— Proszę was.... odsuńcie się.... — prosiła Wanda.

— Patrzcie na tę smarkulę, ona mówi do nas wy!? A małpo jakaś, że ci chłopy kupią suknię, nie poniewieraj porządnych kobiet.

Równocześnie oglądano malarzową, ta jednak była tak zgnębiona i przybita, że broniła się tylko leniwymi ruchami. Dopiero, gdy jedna z nich trąciła ją silniej, oprzytomniała, a widząc obskoczoną Wandę:

— Dajcie panie spokój... nas obie zabrano na wiecu kolejarzy.

— Nie nam zawracać kontramarkę — zaśmiała się wysoka, koścista kobieta z bezczelną twarzą — politycznych nie wsadzają do tego ula!

— Prawda! Prawda!

Oczy Wandy przyzwyczaiły się do tego półmroku, dojrzała tapczany pod ścianami i pociągnęła malarzową ku tapczanowi.

Zaledwie się zbliżyły, gdy nadbiegła jedna z uwięzionych, potrąciła silnie obie i wrzasnęła:

— To moje legowisko, precz! idźcie do rynsztoka spać!

— Albo do kubła — zaśmiała się inna.

— Do kubła z niemi!.... — krzyknęła pijaczka.

Inne zanosiły się od śmiechu, widząc przestrach Wandy i malarzowej i udawały, że mają zamiar zaprowadzić je do kubła.

To brutalne zachowanie się tych mętów wielkomiejskich na razie odurzyło i onieśmieliło Wandę, ale wobec ciągłych napaści i cynicznych żartów owładnęło ją oburzenie i zawołała głośno:

— Dosyć tego! Co my wam złego zrobiłyśmy? zastanówcie się. Wprowadzono nas tutaj przemocą, jesteśmy tak samo więźniami, jak wy, dlaczegóż nas krzywdzicie?

— To racya — odezwał się głos z kąta. — Dajcie spokój, idźcie spać.

— Cały dzień gnijesz na tapczanie, milcz chorobo!

Jednak odezwanie się Wandy zbudziło w tych istotach zepsutych, zniepraw ionych i zezwierzęconych coś w rodzaju echa sprawiedliwości. Zostawiły je we względnym spokoju, zaczęły się układać na twardych, nagich tapczanach.

— A takiej damie czego się chce? — zawołała jedna.

— Poduszki i chłopca, hej!

Któraś z nich zaśpiewała ochrypłym głosem bezecną swym cynizmem piosnkę, co pobudziło do śmiechów i podobnych żartów.

Wreszcie jedna z kobiet, podparłszy głowę ręką, zawołała:

— Dajcie mi złotówkę, a pozwolę wam usiąść na mojem łóżku.

— Przy rewizyi zabrano mi pieniądze — odpowiedziała Wanda — ale jutro wam dam napewno — zbliżyła się do leżącej, lecz widząc jej wstrętne łachmany, odstąpiła o krok.

— Niema głupich czekać jutra... Pewno po ciebie przyjedzie kareta i uciekniesz z moją złotówką.

— Za złotówkę i ja pozwolę!.... — zawołała druga.

— Widzisz ją, ty ścierko żydowska, ja pierwsza odstąpiłam za złotówkę!

— A ty... — i posypały się wyzwiska.

Malarzowa szepnęła Wandzie:

— Schowałam kilka złotych, chyba dam, bo zemdleję ze zmęczenia.

— Wybierzcie możliwy — odszepnęła.

Wreszcie malarzowa zgodziła się z jedną, która za dwadzieścia groszy odstąpiła pół tapczana.

Zegar ratuszowy wydzwonił jedynastą godzinę, w celi zrobiła się względna cisza. Ustały wprawdzie krzyki i śpiewy, ale szepty trwały, jedne wzdychały, inne dławiła czkawka, dusił głęboki kaszel, odzywało się chrapanie i czochranie ciała i ubrań.

Od czasu do czasu po brudnej, zaplwanej podłodze przebiegały ze szmerem karakony, wielkie, czarne, z tłustym odwłokiem. Zatupotał szczur, świecąc drapieżnemi oczyma.

Na odgłos wymiotów pijaczki wszystko pierzchało, aby po chwili biedz po żer.

Wanda to wszystko widziała, wstrząsały nią dreszcze wstrętu, owijała się suknią ściślej, podnosiła nogi w górę, lecz wkrótce spostrzegła z przerażeniem, że i po tapczanie, po ścianach, roi się od karakonów, prusaków, stonogów, pluskiew.

Od czasu do czasu śmielsze osobniki wyłaziły na nią.

Malarzowa, zmęczona przejściami dnia, usnęła i tylko chwilami jęczała i padały łzy z zamkniętych oczu.

Przed Wandą stanął obraz jej sypialnego pokoju, widziała Logikę, Władka, Kolę...

Jak tam było dobrze, cicho, spokojnie, wesoło; a tu!? Wzdrygnęła się, gdyż o jej rękę otarł się szczur wielki, tłusty...

Ach, to więzienie!

Porównywała swe wyobrażenia z rzeczywistością; co za różnica!

Więzienie przedstawiało się jej jako cela cicha, czysta, z okienkiem zakratowanem. Jest samotna ze swemi myślami, biorą ją na śledztwo, odpowiada śmiało, zwięźle, tak że w sędziach budzi szacunek.

A tu!?

Te okropne kobiety, ich śmiechy, drwiny, wstrętne rozmowy i ten brud, te owady, ten straszny zaduch!

Po przejściach dzisiejszych, zwłaszcza w celi, poczuła gorączkę, paliło ją pragnienie; ostrożnie, cicho, podeszła do kubła z wodą, lecz gdy się nachyliła, uderzyła ją taka woń zgnilizny, że wzdrygnęła się i odstąpiła od naczynia z wodą.

Pod nogami odezwał się trzask rozgniecionych owadów, a odurzające wyziewy przyprawiły ją o mdłości; z trudem dowlokła się do tapczana, w uszach poczuła szum, przedmioty i cała cela zaczęła się wahać, poruszać, a w tem poczuła na twarzy zimne, ostre łapki karakona, pochwyciła go i odrzuciła od siebie, a odczute obrzydzenie przemogło omdlenie.

Spoglądając na swe otoczenie, na grube mury, zakratowane okienko, miała wrażenie, że to więzienie oddzieliło ją na zawsze od słońca, powietrza, ludzi; że ten jej dawny świat pozostanie dla niej wspomnieniem, a świat, w którym będzie żyła, to zakratowana cela i takie ohydne otoczenie. Tam na dawnym jej świecie żyje Władek, Logika, Kola, Porwa i czy też oni domyślają się, czy przeczuwają, w jakiem ona więzieniu. Zapewne myślą, jak ona dawniej, że śpi w czystej, spokojnej celi; że sąsiedzi pukają do niej, cieszą się nowinami ze świata, że widzi tych i owych poprzez kraty, na dziedzińcu więziennym pozdrawiają się, współczują ze sobą. O dziecinne złudzenia! — uśmiechnęła się gorzko.

Kto też o niej myśli? Kto szuka dróg ratunku?... Władek napewno... Logika?... Ta pożałowała

chwilę i poszła do swej roboty partyjnej. Porwa? dla niego uwięzienie jej to zwykły wypadek.

Kola?... Ten zapewne współczuje z nią, może i cierpi trochę, ale tak po dziecinnemu... on wogóle tylko bardzo wrażliwy, podatny i gdyby był na jej miejscu, pewnoby rozpaczał gdzieś w kącie i we wszystkiem ustępował tym kobietom ohydnym.

Rozejrzała się wokoło.

Że mogą istnieć takie ohydne okazy w ciele ludzkiem, tego nie wiedziała, nawet nie przypuszczała, a jednak te męty społeczne żyją, czują, cierpią, to są ludzie...

I w miejsce wstrętu i oburzenia poczuła głęboką litość; czyż to ich wina, że upadły tak nisko, że instynkta zwierzęce wzięły u nich górę nad poczuciem człowieczeństwa? To zawiniło społeczeństwo, jego niesprawiedliwość i niedbałość. Jedni, jak ona, są pieszczeni, strzeżeni, umiłowani i uprzywilejowani, a drugich oddaje się na pastwę nędzy, głodu, rozpusty.

Zaczęła rozmyślać, w jaki sposób możnaby te kobiety podnieść, obudzić w nich myśl i poczucie godności...

Zaczynało szarzeć. Dnia nie widziała, ale mętne, brudnawe światło wpadało do celi poprzez kosz i okratowane okienko.

Ilość żerujących nocą owadów poczęła się zmniejszać, a śpiące dotychczas kobiety poczęły ziewać, przeciągać się, spluwać. Niektóre klnąc podnosiły się z tapczanów i śliniąc palce, przecierały zakisłe od snu oczy.

Cela się budziła.

Wanda i malarzowa przestały być dzisiaj nowością, ale zawsze interesowały, jako odmienne okazy. Wczoraj te obdarte, sponiewierane i podniecone kobiety czuły zawiść głodnych i bitych zwierząt do sytych i zadowolonych; dziś ta i owa przebąkiwała o swem możliwem uwolnieniu i zajęły się porządkowaniem ubrania.

Jedna z nich, kobieta lat średnich, z twarzą dość łagodną, podeszła do Wandy i nachyliwszy się, rzekła:

— Szkoda pani tutaj, a wystrzegaj się pani tej czarnej Maryny — wskazała na leżącą w kącie — to złodziejka.

Wanda mimowoli się odsunęła, gdyż z ust mówiącej buchał nieprzetrawiony alkohol, zmusiła się jednak do uprzejmego uśmiechu:

— Dziękuję za ostrzeżenie.

Te słowa ośmieliły kobietę i gładząc brudną ręką bujne włosy Wandy, mówiła:

— Ładne i miękkie jak jedwab... i ja miałam kiedyś takie — westchnęła.

Wanda chciała się wdać z nią w dłuższą rozmowę i miała zamiar zrobić jej miejsce obok siebie, gdy dostrzegła na jej ciemnej chustce dużo pełzających wszy. Wstała szybko z tapczana, aby uniknąć dotknięcia.

— O, arystokratka — zaśmiała się drwiąco kobieta — przyszłam, jak człowiek do człowieka, a ta zrywa się.

— Nie to — zmusiła się Wanda — ale zrobiło mi się słabo.

Właśnie obok niej przechodziła czarna Maryna i biorąc Wandę za rękę, radziła:

— Napij się pani wody, to minie — i nachylając się do ucha — ta co z panią rozmawiała ta pijaczka i złodziejka.. strzeż się pani.

— Dziękuję.

— O, jakie to małe i białe rączki... dopiero chłopcy całują — zaśmiała się cynicznie.

Wanda wyrwała jej rękę i odeszła na bok.

— Nie wstydź się, nie wstydź, my tu przecież same kobiety — i śmiała się.

Malarzowa, która wczoraj otaczała Wandę pewną opieką, dziś siedziała chmurna, patrzała gniewnie na Wandę, a gdy widziała przykre narzucanie się innych, uśmiechała się z odcieniem zadowolenia. Dziś po ochłonięciu z mimowolnego współczucia ze sprawą i z Wandą, zjawiła się gorycz i głęboki żal. Zostawiła dwoje małych dzieci i męża, który nic nie ma wspólnego z kolejarzami. Wanda weszła do niej i ona jest przyczyną jej nieszczęścia, przez nią została aresztowana i siedzi uwięziona z kobietami ulicznemi. Ona, taka wierna żona, matka dzieciom, pochodząca z dobrej familii, musi słuchać tych bezeceństw, a w domu niema komu dopilnować dzieci, pewno tęsknią, płaczą, może rozchorują się i nie daj Boże pomrą. I taki żal za dziećmi, za domem, za mężem ją porwał, że rozpłakała się głośno.

Wanda szybko podeszła do niej i chcąc ją pocieszyć:

— Nie płacz pani... pewno dziś wypuszczą panią... pani niewinna...

— Idź pani sobie — zawołała rozdrażnionym głosem — nie dotykaj się mnie. Może pani tu i dobrze wśród równych, ale ja żona, ja matka.

Wanda zbladła, oczy jej zabłysły oburzeniem, ale przemogła się i łagodnie mówiła:

— Daruj mi pani, moja wina, że weszłam do pani; to prawda...

To zachowanie się Wandy wobec brutalnych słów, obudziło bezwiedny podziw u kobiet, wyczekujących na awanturę a malarzowa, czując w Wan-



— Powiadam wam — elegantka! A który chłop kupił ci to?

dzie jedyną istotę współczującą, wstała i objąwszy ją wybuchła spazmatycznym płaczem.

Zaciekawione kobiety, gdy cokolwiek ucichł płacz głośny, jęły się dopytywać Wandy, co zaszło.

— Powiedzcie same, czy to kaźnia dla ludzi? Udusić się można z wyziewów, woda nie do picia, jedzenie ohydne, robactwa pełno — które te słowa przyjęto z oznakami uznania i wykrzykami:

— Bydlę ma lepiej! Tu zgnić można.

— A przecież my ludzie, jak inni — zaczęła znów Wanda.

— Na obraz i podobieństwo boskie stworzeni — dodała pobożna.

— Powiedzcie same, kto winien, że grzeszycie, że nie jesteście, jako inne? Czy was pilnowano dziećmi? Uczono, co złe, a co dobre? Miałyście mieszkania czyste i wygodne, najadłyście się do syta, czytałyście ładne książki?... Człowiek każdy rodzi się dobrym, a życie robi go złym.

— O święta prawda!... Jak na kazaniu panusia mówią!...

— Hej, hej, gdyby to kiedy tak nastało — westchnęła Maryna — raz ja słyszałam coś takiego, ale nic z tego nie będzie.

— Dlaczegóż nie ma być sprawiedliwości na świecie? — oburzyła się sąsiadka.

— A spytajcie policyanta, dlaczego mu wolno nas bić i targać? — zaśmiała się — on ma siłę i prawo za sobą.

— Prawda... prawda... Źle jest, bo jest, ale takie widać dopuszczenie boskie...

— Gdyby on słyszał, co pani tu wygaduje — mówiła starsza kobieta — poutrącałby pani kości a sińców nie naliczyłaby się pani.

— Co tu gadać — wzruszyła inna ramionami — prawo jest prawem i nie nam wojować z policyą...

Przemowa Wandy miała jednak ten skutek, że zostawiono ją we względnym spokoju i pozwolono na rozmowę poufną z malarzową.

Około godziny dziesiątej rano drzwi otworzyły się i na progu stanął z tacą w ręku stróż więzienny.

— Bałkowska Wanda jest?

— Jestem.

— Nu przysłali pani śniadanie — rzekł wchodząc do celi.

Wszystkie spojrzały z zachwytem i zazdrością na śniadanie, złożone z imbryka z wodą, imbryka z herbatą, dziesięciu bułek, masła, sera i szynki.

— O takiej zawsze chłop pamięta — mruknęła gniewnie Maryna.

Inne spojrzały na nią niechętnie a stróż, przekupiony przez Bala, uważał za stosowne zawołać:

— Milcz ścierwo! ta pani polityczna, rozumiesz małpo!

Postawił tacę przy Wandzie i zwolna, z powagą szedł ku drzwiom, dodając jeszcze z progu:

— Słuchajcie szelmy, jeżeli się ta pani na was poskarży, nauczę was grzeczności.... włóczęgi.

Wanda widząc chciwość i głód z oczu każdej, dała malarzowej dwie bułki ze szynką i masłem, a resztę rozdzieliła, zadawalniając się samą herbatą.

Ta niespodziewana hojność, a jeszcze więcej przyniesienie śniadania i szacunek stróża, zmieniły wszystkie te kobiety na usłużne przyjaciółki, wielce o nią troskliwe.

Ta czyściła suknię, owa kapelusz, inna buciki, a gorliwsza zbierała z Wandy łażące po niej owady. I teraz sama Wanda nie wiedziała, co było lepszem, a raczej dogodniejszem, czy ich gniewy i obojętność, czy też to łaszące nadskakiwanie.

Nadzwyczajnie ucieszyła ją pamięć czyjaś o niej, ale zarazem poczuła wielkie osłabienie i zobojętniała na wszystko.

Znów drzwi otwarły się z hałasem i wszedł sam dozorca więzienia, a zbliżywszy się do siedzącej Wandy, ukłonił się grzecznie.

— Czy pani jest Wanda Bałkowska? — i na skinienie potakujące dodał: — z rozporządzenia władzy otrzyma pani celę osobną, mimo nadzwyczajnego ścisku, własną pościel i żywność z miasta. Proszę za mną.

Wanda wstała a ujrzawszy zrozpaczone oczy malarzowej spytała:

— A co będzie z tą panią?

— Ta, co aresztowana była z panią? i ona pójdzie do politycznych, u nas wszystko porządnie i sprawiedliwie.

Wanda uścisnęła rękę malarzowej, skłoniła się innym i usłyszała na odchodnem:

— To ci jakaś księżniczka, czy co?

— A może utrzymanka komisarza — mruknęła Maryna w poczuciu o wszechwładzy komisarza cyrkułu.

Wanda weszła do małej celi, dosyć brudnej, chociaż było widać dorywcze usiłowania zrobienia porządku. Na tapczanie dojrzała swą pościel i grzebienie, co ją najbardziej ucieszyło i natychmiast przystąpiła do pozbycia się owadów, które oblazły ją we wspólnej celi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zmiany w rządzie niemieckim.

W poprzednim numerze omówiliśmy pokrótce zwycięstwo polityki kanclerza Rzeszy ks. Bülowa; wynikiem i owocem tego zwycięstwa było ustąpienie dwóch wybitnych dygnitarzy rządu niemieckiego: sekretarza stanu (ministra) dla spraw wewnętrznych, hr. Posadowsky'ego i ministra oświaty, osławionego wroga Polaków, dra Studta, których następcami zostali mianowani: dr Theobald Hollweg i dr. Ludwik Holle.



Zmiany w rządzie niemieckim: Były minister spraw wewnętrznych w Rzeszy niemieckiej, hr. Posadowsky.

Podając obecnie portrety obu „wycofanych“ dygnitarzy, zaznaczyć należy, że zmiana ta w rządzie Rzeszy może być tylko korzystną dla naszych braci w zaborze pruskim. Zarówno bowiem hr. Posadowsky jak dr. Studt dyszeli poprostu nienawiścią wobec narodu polskiego i na każdym kroku starali się gnębić go i niszczyć. Laurów ta polityka żadnemu z nich nie przyniosła. To też ustępują żegnani bez żalu nawet po stronie Niemców. Dygnitarze ci bowiem skompromitowali się nietylko swą polityką antipolską, ale i skandalami kolonialnymi, które tak głośne były w prasie całego świata.

Trudno oczywiście przewidzieć, jakimi okażą się wobec Polaków nowo mianowani ministrowie. Gorszymi jednak nie mogą chyba być.

Gimnazyum w Gorlicach.

Założenie nowej szkoły średniej w naszym kraju, czy to gimnazyum, czy szkoły realnej, witać należy radośnie i z zadowoleniem. Galicya bowiem, choć należy do krajów o najliczniejszej ludności w monarchii i choć liczba młodzieży, rwącej się do wyższych studyów stale wzrasta, była zawsze pod względem kreowania szkół średnich przez rząd centralny po macoszemu traktowana i o każde gimnazyum trzeba było długo i zawzięcie z Wiedniem walczyć.

Z pomiędzy miejscowości, gdzie brak i potrzeba szkoły średniej szczególnie dotkliwie dawały się odczuć, wybrano w poprzednim roku Gorlice i założono w nich gimnazyum, do którego zaraz w pierwszym roku wpisało się 78 uczniów, tak iż okazała się potrzeba utworzenia dwóch oddziałów I klasy. W tym roku była tam tylko pierwsza klasa, dalsze powstawać będą kolejno z każdym rokiem, aż do pełnej liczby ośmiu.

Nowe gimnazyum pomieszczono na razie w gmachu Sokoła, gmina zaś ma obowiązek wznieść do r. 1909 osobny budynek, gdzieby szkoła mogła się pomieścić. Tam też dopiero założyć będzie można bibliotekę i zbiory przyrodnicze, tak dla nauki potrzebne, a nad których zawiązkiem już obecnie dyrekcya gimnazyum gorliwie pracuje.

Charakterystyczną jest rzeczą, że wśród uczniów nowego gimnazyum ogromną przewagę mają synowie włościan z okolicy. Jest ich wedle statystyki zakładu przeszło 90%. Objaw to nietylko charakterystyczny ale i bardzo sympatyczny.

Grono nauczycielskie nowej tej szkoły składa się z czteru sił. Kierownikiem jest dyrektor dr. W. Szczepański, katechetą miejscowy wikary ks. Fr. Wolski, a nauczycielami pp. St. Kannenberg i W. Bazanowski.



Zmiany w rządzie niemieckim: Były minister oświaty Rzeszy niemieckiej dr. Studt.

Przed paru dniami zakończono pierwszy rok pracy, a wyniki jej okazały się zupełnie dodatnimi, tak iż tylko nieznaczny procent uczniów nie uzyskał promocyi do klasy drugiej.

Grupę uczniów gimnazyum w Gorlicach wraz



Gimnazyum w Gorlicach: Grupa uczniów gimnazyum gorlickiego wraz z gronem nauczycielskiem: 1 Dyrektor dr. W. Szcz pański; 2. Katecheta ks. F. Wolski; 3. Profesor St. Kannenberg; 4. Profesor W. Bazanowski.

z gronem nauczycielskiem zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Koncert w parlamencie.

W parlamencie austryackim stoczoną została w ubiegłym tygodniu wielka batalia o wybory galicyjskie. Wywołały ją wnioski nagłe ze strony socyalistów i Rusinów, domagające się wyboru osobnej komisyi, którаby zbadała protesty, wniesione przeciw całemu szeregowi wyborów galicyjskich.



Koncert w parlamencie: Radykał ruski poseł Trylowski, »dyrygent« chóru ruskiego w parlamencie wiedeńskim.

Nad wnioskami tymi rozwinęła się bardzo długa, żywa, namiętna dyskusya, w której z jednej strony walczyli posłowie: Hudec, Lieberman, Diamand, Wityk, Stand, Okuniewski, Dawydiak, z drugiej reprezentanci Koła polskiego: dr. Małachowski, br. Battaglia, dr. Petelenz, dr. Loewenstein. Koło polskie odniosło zwycięstwo, w myśl bowiem wywodów jego zastępców wszystkie wnioski nagłe, odnoszące się do wyborów w Galicyi, zostały odrzucone znaczną większością głosów.

Wynik głosowania przyjęły stronnictwa opozycyjne głośnymi objawami niezadowolenia. Ze strony Rusinów nastąpiła w owej chwili wielka demonstracya, nietyle szczera i poważna, ile hałaśliwa i teatralna.

Oto kiedy po ogłoszeniu wyniku głosowania zabrał głos wiceprezydent Koła polskiego dr. Dulęba, aby zaprotestować przeciw poniżaniu powagi obrad i przeciw obrzucaniu przeciwników politycznych nieparlamentarnemi obelgami, powstali Rusini ze swych ław i na dany przez radykała dr. Trylowskiego znak, zaintonowali znaną swą pieśń narodową: „Szcze ne wmerła Ukraina“. Melodya tego hymnu jest niewątpliwie bardzo piękna. Bije z niej jakiś rzewny, smętny ton, jakby tęsknota za pięknymi, szerokimi stepami Ukrainy, jakby wspomnienie minionych, a lepszych dni. Niemniej jednak zakłócenie powagi obrad choralnym śpiewem musiało wywołać w całej Izbie poselskiej oburzenie, choćby pieśń była najpiękniejsza, a wykonanie prawdziwie koncertowe. A w tym wypadku i tego nie było, fałszowali bowiem dwaj syoniści, przedstawiciele spółki syońsko-ruskiej, posłowie Gabel i Mahler. Kiedy mimo wezwań prezydenta Izby, Rusini nie zaprzestali śpiewu, wszyscy ministrowie wraz ze swym prezydentem br. Beckiem opuścili demonstracyjnie salę, a za nimi cały szereg poważnych parlamentarzystów. Rusini śpiewali dalej, a skończywszy hymn narodowy, rozpoczęli pieśń nienawiści, dziką pieśń i pełną namiętności: „Ne pora Lacham służyty“. Dopiero kiedy wyschły im gardła i kiedy się spostrzegli, iż demonstracya nie wywołała oczekiwanego wrażenia, przeszli z „forta“ do „piana“, a wreszcie zamilkli.

Prasa niemiecka, nawet nieprzychylna Polakom, jednogłośnie potępiła demonstracyę ruską.

W pamiętnym tym koncercie rolę dyrygenta objął radykał dr. Trylowski, a pierwszym tenorem był poseł buczacki, Wacław Budzynowski. Poseł ten zadebiutował już przedtem w parlamencie, mianowicie w dyskusyi nad przeniesieniem urzędników, a wygłoszona przezeń mowa zasługuje na uwiecznienie. Pełna ona była zwrotów tego rodzaju, jak: „bandyci polscy“, „najbardziej łajdacka centralna władza krajowa t. j. Rada szkolna“, która „szaleje tak, jak nie szaleje nawet po trzykroć wściekła, dzika bestya“; nauczyciele galicyjscy nadają się, zdaniem p. Budzynowskiego, raczej na pomocników oprawcy, niż na wychowawców; są to wszystko „wszechpolskie bestye“. Tych parę próbek wystarczy, aby dać pojęcie, w jakim tonie trzymał pierwszy tenor ruskiego chóru swą mowę. W rezultacie domagał się on ni mniej ni więcej,



Koncert w parlamencie: Poseł Wieczysław Budzynowski »pierwszy tenor« chóru ruskiego w parlamencie wiedeńskim.

tylko wytopienia Polaków w Sanie, albo wywieszania ich na przydrożnych drzewach.

* * *

Dla uwiecznienia tych „głośnych“ zajść w parlamencie zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcie, przedstawiające nową Izbę poselską, zebraną w odnowionej sali obrad, oraz portrety pp. Trylowskiego i Budzynowskiego.



Koncert w parlamencie: Sala obrad Izby poselskiej, gdzie Rusini urządzili hałaśliwą demonstracyę.

Minister Nasi przed sądem.

Dawne państewka włoskie, stanowiące obecnie królestwo włoskie — nie zapomniały jeszcze tych czasów, gdy każde z nich niezależne, prowadziło zacięte walki z swymi bezpośrednimi sąsiadami. Umiłowanie wolności, utrzymanie niezależności wobec większych miast, dążących do podbicia pod swą władzę słabszych sąsiadów, sprowadzało na te miasta jakby stan ciągłego oblężenia, które też wyrobiło w ówczesnych mieszkańcach wielką odwagę i jakiś specyalny, lokalny patryotyzm.



Minister Nasi przed sądem: Były minister Nunzio Nasi, oskarżony o nadużycia.



Minister Nasi przed sądem: Syn ministra Nasi'ego Virgilio, w otoczeniu adwokatów ojca. Adw. Marincola, Virgilio Nasi, adw. Merlani, prof. Faranda, adw. Cinelli, adw. Martini.

Dzisiaj te czasy przypomina miasto Trapani, występujące przeciw całym Włochom w obronie swego posła, b. ministra Nasi. Zdolny, rzutki, znany w całych Włoszech jako świetny mowca, zyskał sobie w krótkim czasie wybitne stanowisko w świecie politycznym, albowiem za ministerstwa Zanardelle'go i Giolitti'ego 1901 r. powierzono mu tekę ministra oświaty.

Miasto Trapani szczyciło się swym posłem i owacyjnie podejmowało go zawsze, gdy odwiedzał swój okręg wyborczy, to też i pan minister pragnął okazać swą wdzięczność wyborcom, lecz posunął ją tak daleko, iż stanął w kolizyi z kodeksem karnym. Oskarżony został nie o nadużycie władzy, lecz o zwyczajne nadużywanie funduszów państwowych, ale i tutaj znowu trzeba nadmienić, iż obracał je nietylko dla uszczęśliwienia swego okręgu, ale w znacznej mierze korzystał z nich sam dla własnej korzyści.

Oskarżony, ratował się ucieczką za granicę, lecz wkrótce stanął do nowych wyborów w swem rodzinnem mieście, które wybrało go jednogłośnie swym posłem, witając przybycie jego do Trapani nadzwyczaj szumnie. W mieszkańcach Trapani obudziła się dawna niezależność; stanęli też teraz do walki z sądami włoskimi w obronie swego przedstawiciela. Poseł Nasi zjawił się niedawno w parlamencie włoskim i oświadczył, że staje przed sądem.

Załączone ryciny przedstawiają: jedna samego posła, druga: syna Virgilio Nasi, w otoczeniu obrońców ojca.

Koniec zaburzeń w południowej Francyi.

Krwawy był przebieg zaburzeń, jakie w południowej Francyi rozegrały się na tle rewolucyi winnicowej. Przyszło bowiem w kilku miejscowościach do starcia między zrewoltowaną i wzburzoną ludnością, a wojskiem, które acz niechętnie, musiało parokrotnie użyć broni. Ludność podniecona przez agitatorów, podpaliła w kilku miastach budynki rządowe, zniszczyła środki komunikacyjne, a dla obrony przed władzą, przed wojskiem wzniosła barykady.

Wysłane celem uspokojenia rewolty wojsko, nie zawsze szło za rozkazem komendy. W szczególności 17-ty pułk piechoty otwarcie zamanifestował swe sympatye dla burzących się obywateli i odmówił posłuszeństwa. Został też za tę niekar-



Koniec zaburzeń w południowej Francyi: Wojsko zajęte uprzątaniem barykad.



Koniec zaburzeń w południowej Francyi: Oddział zbuntowanego pułku 17.



Koniec zaburzeń w południowej Francyi: Z wnętrza kasarni zbuntowanego pułku 17.

Zmiany w armii austryackiej.

W sferach wojskowych wywołały duże zainteresowanie zmiany, jakie w ciągu ostatnich dni zaszły na dwu bardzo wysokich i wybitnych stanowiskach armii austryackiej.

Oto arcyksiążę Fryderyk, dotychczasowy generalny inspektor wojsk, mianowany został przez cesarza naczelnym komendantem obrony krajowej, a na jego miejsce powołał panujący komenderującego XV. korpusu, bar. Alboriego.

Arcyksiążę Fryderyk, syn arcyks. Karola Ferdynanda, jest mężczyzną w sile wieku, urodził się bowiem 1856 r. Poświęciwszy się — podobnie jak wielu innych arcyksiążąt — karyerze wojskowej, przechodził kolejno stopnie hierarchii i doszedł obecnie do bardzo wysokiej godności, jaką jest naczelna komenda nad całą obroną krajową.

Następca jego na stanowisku generalnego inspektora wojsk, bar. Albori, jest już człowiekiem starszym, liczy bowiem 59 lat. Jako syn prezydenta sądu, ukończył akademię terezyańską, poczem wstąpił do wojska i posuwając się szybkim krokiem w górę, otrzymał 1894 r. komendę korpusu I. w Krakowie. Na stanowisku tem działał przez lat dziewięć, poczem został mianowany komenderującym korpusu XV i szefem krajowym Bośni i Hercogowiny.

Przeniesienie go z Krakowa wywołało w swoim czasie w Krakowie ogólny żal. Generał Albori bowiem zjednał był sobie tu sympatyę całej ludności swojem wysoce taktownem postępowaniem. Stosunki między wojskowością a ludnością cywilną, dawniej dość zimne, za jego pobytu w Krakowie ożywiły się. On pierwszy pozwolił, by żołnierze z I. korpusu, nie umiejący czytać i pisać, uczęszczali na kurs dla analfabetów, utrzymywany przez T. S. L. Na każdym kroku szedł też na rękę władzom cywilnym.

Pobyt bar. Alboriego w prowincyach okupowanych nie trwał długo. Zaszczytna nominacya na jedno z najwyższych i najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w armii, powołuje go z powrotem do centrum monarchii.

Obie te nominacye dotyczą dygnitarstw prawie najwyższych w armii i bardzo odpowiedzialnych. Zarówno samodzielny komendant obrony krajowej jak generalny inspektor wojsk, muszą być ludźmi wielkich zdolności strategicznych, silnej woli i sprężystości. Tu nie wystarcza już rutyna lub zwyczajne wykształcenie wojskowe. Aby trudnym obowiązkom podołać, trzeba mieć umysł jasny, otwarty, trzeba się zaznajamiać z najnowszemi zdobyczami w zakresie sztuki wojennej, trzeba je umieć zastosować w porę i w odpowiedniej mierze.

Pod tym zaś względem obaj nowomianowani dygnitarze wojskowi nie zawiodą oczekiwań, do swych osób przywiązanych. Arcyksiążę bowiem Fryderyk dał już na poprzednio zajmowanych stanowiskach dowody, iż jest mężem, obdarzonym niezwykłemi zdolnościami umysłu. Toż samo nowy inspektor wojsk, bar. Albori, należy do najwybitniejszych generałów armii austryackiej i z powodu zalet umysłu i charakteru jest powszechnie cenionym.

ność ukaranym w ten sposób, że przeniesiono go do kolonij francuskich w Afryce.

Tam jednak, gdzie wojsko poszło za wolą i rozkazem swych wodzów, przyszło do rozlewu krwi, przyczem padło wiele ofiar. Ludność miejscowości, w których stoczono walki z wojskiem, urządziła dla ofiar tych starć wspaniałe pogrzeby. Zamieniły się one, dzięki udziałowi nieprzejrzanych tłumów ludności, w olbrzymie manifestacye.

Równocześnie rząd francuski wszedł na drogę układów z przywódcami niebezpiecznego ruchu i dzięki roztropnemu poprowadzeniu akcyi, cała krwawa historya znalazła pokojowe zakończenie.

Dziś w całej południowej Francyi panuje spokój. W pospiesznem tempie toczą się roboty około naprawienia szkód, jakie zrewoltowana ludność poczyniła w szeregu miejscowości. Wojsko rozbiera barykady tamujące swobodę ruchu i komunikacyi, gmachy i ulice powracają do dawnego wyglądu. Wnet znikną ślady niedawnych walk i krwawych starć, pozostaną tylko mogiły tych, którzy życiem własnem przypłacili nieposłuszeństwo wobec postanowień władzy.

* * *

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcia, przedstawiające oddział zbuntowanego pułku 17., dalej pogrzeb ofiar krwawego zajścia w Narbonne, scenę z tamtejszego cmentarza, oraz akcyę około uporządkowania zniszczonych miejscowości.



Koniec zaburzeń w południowej Francyi: Pogrzeb ofiar krwawych zajść w Narbonne.



Koniec zaburzeń w południowej Francyi: Scena na cmentarzu w Narbonne podczas pogrzebu ofiar krwawego zajścia.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

14 (Dokończenie).

Pewnego razu stanął na mojej drodze Bêlac, któremu kiedyś, dawno pomogłem w kilku ciemnych sprawach. Spotkaliśmy się w Paryżu za pośrednictwem dawnego towarzysza i klienta Melun a który mnie staremu polecił. Widywałem go rzadko, lecz w razie potrzeby korespondowaliśmy ze sobą.

Jednego dnia wezwał mnie do Brukseli, gdzie miałem mu pomódz w wymuszeniu jakiejś większej sumy zapomocą szantażu na bogatym przemysłowcu. Przemysłowiec ten był właśnie pryncypałem Janiny. W tej chwili się tam udałem. Cała rodzina wyjechała już z Antwerpii, co mnie bardzo zmartwiło. Pomimo radości, jaką uczułem na widok mojej kochanki, udałem, że jej nie znam. Ona również tak postępowała. Ale trzeba nieszczęścia, że ten wstrętny staruch ujrzał ją i zakochał się w niej szalenie.

Obiera mnie swoim powiernikiem i prosi, bym mu pomógł do zdobycia dziewczyny. Rzecz wydawała mu się nie tak trudną do urzeczywistnienia. Byłbym go był z chęcią udusił. Ale nie mogłem mu na to nic powiedzieć.

Byłbym zdradził stosunek nas łączący i na zawsze zgubił Janinę w oczach jej chlebodawców, a może utracił ją!... Zamilkłem więc.

Chcąc się uwolnić od niego czemprędzej, obiecałem mu pomoc w tej sprawie. Namiętność u tego starca, który żył w wstrzemięźliwości jedynie przez skąpstwo, przybrała teraz zatrważające rozmiary! Stracił zupełnie rozum i bez najmniejszej ostrożności pisał do mnie list za listem, — błagał mnie... obiecywał dozgonną wdzięczność! Mnie! za Jaaine! Ha! ha! ha! Obowiązywał się do zabezpieczenia Janinie przyszłości, do zapisu na jej korzyść, w końcu chciał ją poślubić. Tym sposobem poddał mi sam myśl skorzystania z położenia.

Odpowiedziałem mu raz zimno, że sprawa przedstawia wiele trudności, że będzie musiał wiele poświęcić...

Stary szaleniec odwrotną pocztą przysłał mi pieniądze. Miałem go już w rękach. Szło nad podziw dobrze.

Nareszcie stary, doprowadzony do ostateczności i rozgorączkowany mojemi obietnicami, donosi mi w styczniu, że postanowił raz z tem skończyć. Zlikwidował swój majątek i papiery i skoro tylko przyprowadzę mu jego zdobycz, wyjedzie z nią zupełnie do kraju, gdzie ich nikt nie zna, gdzie będzie mógł ukryć pożądaną kobietę przed oczami ciekawych i żyć z nią szczęśliwy. W tym celu, by rzecz całą ukryć w tajemnicy, wynajął willę w Paryżu pod obcem nazwiskiem, w której nas niecierpliwie oczekiwać będzie i skąd nastąpi projektowany wyjazd.

Zdaje się, że stary szaleniec był już na drodze do domu waryatów.

Nie namyślałem się ani chwili.

Miałem zdawna gotowy i ułożony dostatecznie plan w myśli.

Wtedy po raz pierwszy zażądałem od Janiny ślepego posłuszeństwa i przedstawiłem jej rzecz całą.

Zbuntowała się, oburzyła! Byłem tego pewny. Nie prosiłem już, nie radziłem, ale rozkazywałem, jak pan położenia.

Nigdy nie zapomnę tej sceny.

Siadłem naprzeciw niej, patrząc jej nieustannie w oczy, ściskając ręce, całując namiętnie. Przystała po długiej walce.

Wyjeżdżamy bez żadnych bagaży, które nam mogły w danej chwili zawadzać. Nie można nigdy wiedzieć, co się stanie, a zresztą magazynów nie brak w Paryżu.

Aha! Byłbym zapomniał o jednym szczególe.

Pomiędzy znajomymi miałem chemika, który na moją prośbę, nie zgłębiając rzeczy, dał mi narkotyk silny, którego składników nie znałem.

Janina miała flaszeczkę z narkotykiem w kieszeni.

Przybywszy do Paryża, nie stanęliśmy dla ostrożności w żadnym hotelu. Zaprowadziłem moją przyjaciółkę do restauracyi na śniadanie, gdzie ją pozostawiłem, a sam pobiegłem po Bêlaca, którego już przedtem listem, naturalnie poste-restante, uprzedziłem o naszym przyjeździe.

Wtedy powiedziałem mu, żeby znowu tak bardzo nie liczył na wygraną, że trochę, bezwiednie, chcąc się mu przysłużyć, powiększyłem w listach szanse udania się sprawy, że zrobiłem już bardzo wiele, bo przywiozłem do Paryża tę młodą kobietę, że zostawiłem ją u jej krewnej i że mam z nią iść na obiad. Przy obiedzie naturalnie postaram się ją trochę upić, a potem przyprowadzę ją do niego.

Dziewczyna nie wie o niczem, nie domyśla się niczego, a tem mniej, że to on, Bêlac, ma być jej uwodzicielem. Powinien więc postępować z nią bardzo ostrożnie, nie przynaglać, ukryć o ile możności pożądanie, odegrać rolę przyjaciela, opiekuna, przytem starać się pozbawić ją przytomności za pomocą starego wina lub jakiego likieru, a potem to już sam dyabeł nie pomoże! W tej samotnej, pustej willi nie zdoła się mu oprzeć. Tak jest i ja mu to wszystko powiedziałem.

O godzinie dziewiątej po obfitym obiedzie, byliśmy już z Janiną w pawilonie.

Nadzwyczajnie uległa i pamiętna odebranych wskazówek, trochę podniecona, bo i o to się postarałem, Janina z artyzmem prawdziwym odegrała swoją rolę.

Wydaje się zdziwiona, oburza się, błaga, grozi. Stary przeprasza ją, zapewnia, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, że jest jej oddanym przyjacielem, że może odejść, kiedy tylko zechce i prosi o przebaczenie za podstęp, jakiego użył, żeby ją do siebie sprowadzić, przeprosić za dawne napaści i przekonać ją, że teraz żywi dla niej jedynie ojcowskie, poważne przywiązanie. Chciałby jej zapewnić przyszłość, bo żal mu, że marnuje młodość i zdrowie na usługach u ludzi obcych i że wynalazł dla niej posadę prawie niezależną, a mogącą jej przynieść obfitą materyalną korzyść.

Ona naturalnie uspokoiła się, staje się ożywiona i wesoła, udaje silnie podnieconą, co potęguje żądzę staruszka i napełnia go radością. Ale jeszcze panuje nad sobą. Przecież wie, że nic nie nagli: ma ją w rękach! Rozmowa toczy się ożywiona. Gorąco szalone w pokoju, wszyscy odczuwają pragnienie.

Stary przynosi butelkę Chartreusa i sam pije bez opamiętania, zapomina się, powraca do roli namiętnego kochanka, obiecuje pokaźną sumę pieniędzy, zapala się. Pieniądze ma przy sobie w portfelu na każde jej żądanie. Powoli traci resztę zdrowego rozsądku, podniecony staje się natarczywym, czułym, wygaduje obrzydliwe rzeczy.

By go lepiej oszukać i pozostawić Janinie czas do wlania narkotyku w kieliszek starego, wychodzę, podając za powód ważny interes, który mnie wzywa do miasta.

Lecz pchany dziwnym niepokojem, zdenerwowany, przybiegłem z powrotem wcześniej, niż zamyślałem.

Wchodząc widzę... widzę...

Gruby Ludwik dusił się... twarz mu krwią nabiegła, nagłym ruchem rozerwał kołnierz koszuli.

— Mów pan dalej — rzekł sędzia.

— Widzę, jak Bêlac ściska Joannę, która nieprzytomna, naprawdę podniecona, z błyszczącemi oczami, widocznie pod wpływem tej histerycznej zmysłowości, o której mówiłem, nie broni się... i zdaje się, że ulegnie mu lada chwila!

A więc Bêlac nie wypił narkotyku!

Nie mogłem zatem uskutecznić obmyślanej kradzieży portfelu.

Co tam! nagle zrobiło mi się czorwono przed oczami i z całej siły uderzyłem starego sztyletem, który zawsze nosiłem przy sobie!

Wściekły, nieprzytomny, chciałem uderzyć i Janinę, ale wstrzymałem się pod wpływem nagłej reakcyi.

Dokonawszy tej zbrodni, pomyślałem o usunięciu śladów. Rozebrałem Bêlaca. Ale byłem bardzo zdenerwowany.... Zaledwie mogłem wsunąć jako tako trupa pod kanapę... a ubranie rzucić na fotel.

Janina zemdlała... Wybiegłem sądząc, że świeże powietrze przywróci mi przytomność. Biegłem przed siebie jak waryat. Nie wiem dokładnie, jak długo tak błądziłem... Po kilku godzinach powróciłem... miałem przy sobie klucz od pawilonu i wszedłem, starając się nie obudzić Janiny, gdyż przypuszczałem, że zamknęła się i położyła spać.

Zamek był podwójny, tak że mógł równie dobrze zamykać się i otwierać z wewnątrz i zewnątrz i ten szczegół właśnie uszedł uwagi wszystkich i zmylił podejrzenia.

Co się stać mogło podczas mojej nieobecności!?

Powracałem, by zabrać portfel Bêlaca, którego zapomniałem odrazu wziąć ze sobą, spalić jego ubranie i uciekać, zabrawszy ze sobą Janinę.

Ale nagle przy słabem świetle przyćmionej lampy dostrzegłem moją kochankę w łóżku obok jakiegoś mężczyzny.

Skąd się ten wziął? Jakim sposobem znalazł się w łóżku? Zbliżyłem się, chcąc go zbudzić.

Naprożno... Wtedy spostrzegłem stojące na nocnym stoliczku wypróżnione kieliszki. On musiał zapewne wypić narkotyk przeznaczony dla Bêlaca! Janina była rozebrana i nagiemi ramionami otaczała szyję tego człowieka!

Ściągnąłem ją z łóżka, żądając wytłómaczenia. Zaczęła się prędko ubierać. Nie mógłbym dokładnie powtórzyć, co się później stało.

Janina nie odpowiadała wprost na moje pytania i stworzyła na poczekaniu, chcąc mnie zapewne uspokoić, bajeczkę dziecinną.

Powiedziała mi, że sprowadziła tu tego człowieka w celu uśpienia go i wydania w ręce sprawiedliwości i tym sposobem chciała zmylić poszukiwania i ułatwić nam ucieczkę. Czołgała się u moich nóg, zapewniając, że mnie nie zdradziła. Wtedy błysnęła mi myśl, że ta kobieta może mnie zdradzić mimowoli, a czułem, że mnie oszukała, że należała do tamtego.

I wtedy uderzyłem ją, potem chwyciłem rękami za szyję i ściskałem... ściskałem... z wściekłości, jak szalony. Po chwili zobaczyłem, jak Janina zwaliła się u nóg moich nieżywa...

Później przyszła mi ochota zaduszenia tego człowieka, który leżał na łóżku, ale lepsza myśl... myśl zemsty powstała w mojej myśli. Janina mi ją przed chwilą poddała i przygotowała wszystko, by ten człowiek mógł uchodzić za mordercę. Usunąłem wszystko, co mogło zdradzić obecność Bêlaca w pawilonie, ubranie rzuciłem do ognia.

Wychodząc już, dostrzegłem ze zdziwieniem, że klucz tkwił w zamku od strony wewnętrznej... a przecież przed chwilą swoim kluczem otwierałem drzwi z zewnątrz! Sam dyabeł widocznie mi dopomógł!

Zostawiłem ten klucz i wyszedłem, zamykając drzwi na dwa spusty.

To zrodziło przypuszczenie, że nikt obcy nie mógł wejść do mieszkania oprócz Janiny i Germonpré'a.

To jest wszystko, co miałem do powiedzenia...

Od tego czasu dużo myślałem nad tą sprawą i odgadłem, co się stać mogło. Janina musiała odzyskać przytomność po mojej ucieczce i czując zawrót głowy, wywołany dosyć dużą ilością wypitego dnia tego wina i likieru... zapragnęła wyjść, uciec od towarzystwa niemiłego trupa. I wtedy poszukała sobie towarzysza, zamierzając go zapewne nad ranem pożegnać przed mojem przyjściem... Silnie podniecona, uległa pieszczotom tego przygodnego kochanka.

Gruby Ludwik urwał, dysząc ciężko. Spojrzał na Germonpré'a.

Ten wstał i wsparty na krześle, rzekł głosem, przerywanym wzruszeniem:

— Nareszcie pan sędzia przekonał się o mojej niewinności; teraz wszystko jest jasne.

— Panie — dodał, zwracając się do Durieulta — przez pana cierpiałem za winę niepopełnioną... Pomimo tego jednak dziękuję panu, że zwróciłeś mi honor i uczciwość. Zemsta pana była straszna, ale zapominam o niej i dziękuję.

Mówiąc to Germonpré podszedł z wyciągniętą ręką do Grubego Ludwika.

I nagle, zanim dozorcy mogli temu przeszkodzić, Gruby Ludwik skoczył na Germonpré'a. Oczy mu krwią nabiegły, piana wystąpiła na usta i dając folgę nienawiści i wściekłości, którą powstrzymywał od dni paru, uchwycił przeciwnika za szyję, ściskając z całą siłą swych muskularnych dłoni.

— Ty miałbyś żyć?!... wolny?... nigdy! nigdy!... — zawył wściekle. — Zabiję cię, jak zabiłem Bêlaca.

Naprożno dozorcy, sędzia i protokolant pospieszyli na pomoc Germonpré'owi. Naprożno nad-

biegli urzędnicy z biura, adwokaci, zwabieni krzykiem obecnych, przy tej strasznej, dzikiej scenie i usiłowali wyrwać biedną ofiarę z rąk Grubego Ludwika.

Siłacz wstrząsał nieszczęśliwym jak trzciną, uczepiwszy się go i głosem strasznym, świszczącym, nieludzkim, wydawał przeciągłe okrzyki, podczas gdy palce jego, zakrzywione jak szpony drapieżnego ptaka, wciskały się w szyję nieszczęśliwej ofiary zazdrości.

I gdy nareszcie zdołano go oderwać od Germonpré'a, ten z wykrzywioną twarzą, w ostatnim skurczu śmiertelnym runął z głuchym łoskotem na podłogę.

Były sędzia śledczy, kat Berton-Morinvala i ofiara strasznej pomyłki nie żył!...

Usiłowano go przywrócić do życia, ale napróżno...

Zwołani dozorcy szpitalni odnieśli trupa do kostnicy.

I nagle w ciszy, która zaległa pokój po tej okropnej scenie, zanim obecni mogli przyjść do siebie, rozległ się straszny, dziki, przerażający krzyk, podobny do wycia dzikiej bestyi, a potem wybuch okropnego, szalonego śmiechu.

Dreszcz przebiegł otaczających.

Krzyk ten wybiegł z piersi Grubego Ludwika!...

Osłabiony umysł, silnie wyczerpany wypadkami dni ostatnich i nadludzkimi wysiłkami, aby zapanować nad wściekłą nienawiścią do rywala, odmówił teraz posłuszeństwa.

Gruby Ludwik przestał być niebezpiecznym dla urzędników policyi.

Bezwładnego, bez oporu, powiedli dozorcy do szpitala w Depôt, dokąd przybyła wkrótce po niego karetka ze szpitala Sainte-Anne.

* * *

Śmierć Germonpré'a uwalniała po części p. Noileau z sytuacyi drażliwej i trudnej.

Równocześnie przyniosła prawdziwą ulgę urzędnikom administracyi sądowej.

Jakżeby inaczej mogli wybrnąć z tej sprawy?...

Po tym podwójnym skandalu Germonpré nie mógł nadal pełnić obowiązków sędziego śledczego. To było jasne!

Ale zarazem chcąc postąpić logicznie i lojalnie, nie można go było zupełnie ze służby usunąć. Bo właściwie czemże zawinił w Châlon-sur-Loire?

Zawinił zbytkiem gorliwości, która spowodowała pomyłkę sądową.

Niczem więcej.

A w Paryżu?

On sam był ofiarą...

Nie można go było otwarcie karać za to lekkie uchybienie, które się już dostatecznie na nim zemściło.

A więc w jaki sposób możnaby było wyjść z tego zaczarowanego koła?

* * *

Sprawa morderstwa na ul. Clichy została nareszcie wyjaśniona.

W trzy tygodnie później pewnego poranku, po raporcie zdanym przez inspektorów i ajentów, p. Cardec zatrzymał dłużej Jaminota i doniósł mu, że Gruby Ludwik zmarł tej nocy, po strasznym ataku szaleństwa.

— Szkoda, mój stary — dodał szef bezpieczeństwa — że ta sprawa zakończyła się śmiercią winnego w celi zakładu dla waryatów. Powodzenie twoje i wykazanie twojej gorliwości i sprytu wobec sędziów przysięgłych w dalszym przebiegu śledztwa byłoby mi sprawiło prawdziwą przyjemność. Ale trudno mój Jaminot. Trzeba się pogodzić z losem. Mam nadzieję, że wkrótce nadarzy się dobra sposobność, bo niestety są one częste, gdzie będziesz mógł przełożonym wykazać swoje zdolności i gorliwość w służbie.

— Dziękuję bardzo panu szefowi za jego dobre słowa — odpowiedział Jaminot. — To prawda, że ja tego łotrzyka wytropiłem, ale pan szef zdaje się zapominać, że to pan pierwszy uwierzył w niewinność tego Germonpré'a, kiedy ja, szczególnie na samym początku, nie mogłem pojąć, by naprawdę niewinny człowiek mógł się znajdować w towarzystwie dwóch trupów, które nie skończyły śmiercią naturalną, w mieszkaniu zamkniętem na klucz z wewnętrznej strony. To ten dyabelski zamek nas wszystkich oszukał.

— Ale to nic, panie szefie — zakończył Jaminot z westchnieniem—nie można zaprzeczyć, że to była nadzwyczajna zbrodnia.

W tej chwili dzwonek zawezwał p. Cardec'a do telefonu.

— Hallo!... Hallo!...

— . . .

— Ah!... to pan, panie Droftal? Co tam nowego?

— . . .

— Dobrze, dobrze.

— . . .

— Naturalnie! Rozumiem!

Zaczepiając słuchawkę, szef rzekł do Jaminota, który czekał na uboczu:

— Widzisz Jaminot, że miałem racyę, mówiąc przed chwilą, że niestety nie braknie nam nigdy roboty tego rodzaju.

Udasz się natychmiast do komisaryatu do pana Droftala. Weźmiesz ze sobą dwóch ajentów. Chodzi o dwie małe dziewczynki, które znaleziono w piwnicy pewnego domu okropnie pokrajane i zeszpecone.

— Pan szef może na mnie liczyć. Tego ptaszka postaramy się cało i zupełnie bezpiecznie odstawić do „Wdowy".

KONIEC.



Potem chwyciłem rękami za szyję i ściskałem.

OD REDAKCYI:

W następnym numerze „Now. Ilustrowanych" rozpoczynamy drukować powieść **Piotra Zaccone** pod tytułem:

„Zbrodnia przy ulicy Monge",

w wybornem tłomaczeniu. Powieść ta osnuta na tle autentycznego, wysoce **dramatycznego** wypadku, odznacza się **interesującą**, ogromnie **żywą fabułą**, pyszną **charakterystyką** występujących w niej **osób** i zawiera mnóstwo **wstrząsających epizodów**. Nie wątpimy, iż Czytelnicy nasi z żywem zaciekawieniem i przejęciem śledzić będą bieg wypadków w powieści Zaccone'a podanych i współczuć z losem bohaterów tragedyi.

Redakcya.

Humorysta doktorem.

Do najpopularniejszych postaci na obu półkulach należy bezsprzecznie Tom Samyer, ten łobuz, który tyle utrapień sprawiał z początku swej ciotce, a potem całej okolicy. Zawsze potrafił umknąć przed karą, wyprowadzić w pole starą Miss Polly, której wyjadał konfitury, a czynił to nie z łakomstwa, bo to rzecz babska, lecz z bohaterstwa, bo w ten sposób zasługiwał na rózgi, przed któremi zawsze w niezwykły sposób zdołał obronić swą skórę.

Dzisiaj Tom Samyer, najsławniejszy pisarz Anglii i Ameryki, tłómaczony na wszystkie języki, został mianowany doktorem „honoris causa“ na wydziale literackim uniwersytetu w Oxford. Zjechał więc Mark Twain, bo nim to właśnie jest ten Tom Samyer, do Anglii, uroczyście witany. W młodych latach był utrapieniem swej ciotki, dzisiaj został ulubieńcem dworu i arystokracyi angielskiej, a humor nigdy go nie opuszcza.

Właśnie obecnie na przyjęciu u dworu ubawił całe towarzystwo opowiadaniem, w jaki sposób poseł amerykański Reid pomógł mu do zarobienia 600 dolarów, czyli 3000 koron. Na festynie w ambasadzie amerykańskiej, Twain miał zamiar wygłosić toast, ale poseł nie dopuścił go do słowa. „Wdzięczny też mu jestem — opowiadał królowej „Wesoły autor“, jak go powszechnie w Ameryce i Anglii nazywają — bo gdybym przemówił, moje słowa podaliby do druku reporterzy, wobec zaś tego, co zaszło, sam ogłosiłem swą mowę w „North America Review“ a w piśmie tem płacą mi po 600 dolarów za szpaltę“.

Dołączamy podobiznę Marka Twaina, gdy w otoczeniu reporterów wchodzi na pokład statku „Minneapolis“.



Fot. E. Brüx Cieszyn.

Humorysta doktorem: Znakomity pisarz amerykański i humorysta Clemens, znany pod pseudonimem Marka Twaina.

Gmach „Kółek rolniczych“ we Lwowie.

Pożyteczna instytucya stow. „kółek rolniczych“ święci w roku bieżącym 25-lecie swej działalności. Założone w r. 1882 rozwijało się towarzystwo to szybko i poważnie, zdobywając coraz nowe pola pracy, tak iż dziś jest największem w Polsce. Kilka cyfr wystarczy, aby to udowodnić. Istnieje oto w Galicyi 1.235 kółek, skupiających w sobie przeszło 54.780 członków.

W roku ubiegłym wartość własnych domów Kółek wynosiła 636.977 kor.; w bibliotekach znajdowało się dzieł 81.046, czasopism 2.989; Kółka sprowadziły dla członków: 1) nasion za 89.007 k., 2) nawozów sztucznych za 392.779 k., 3) maszyn rolniczych za 44.616 k., 4) drzew owocowych 21.448 szczepków; sklepów przy Kółkach znajduje się 872, z tych 467 we własnym zarządzie. Kółka złożyły na ogólne cele 48.951 k., członkowie ich odbyli zebrań 32.748.

Charakterystyczną jest dalej rzeczą, że z każdym rokiem wzrasta liczba Kółek, któremi kierują sami włościanie, a które najlepiej i najpiękniej się rozwijają.

Rola tow. „Kółek rolniczych“ była zawsze bardzo dodatnią wobec ludności wiejskiej, tak polskiej jak ruskiej. Przyczyniły się one w znacznej mierze do podniesienia rolnictwa w kraju, do wprowadzenia lepszych, szlachetniejszych odmian zboża, do rozwinięcia sadownictwa, a nadto wzięły w swe ręce znaczną część pośrednictwa handlowego. Nie mniej doniosłą jest akcya „Kółek rolniczych“ na polu oświatowem.

Jubileusz ćwierćwiekowej działalności „Kółek“ uświetniony został poświęceniem kamienia węgielnego pod gmach instytucyi, który stanie przy ul. Kopernika we Lwowie. Uroczystość ta odbyła się we wtorek tego tygodnia, w pierwszym dniu zjazdu delegatów na walne obrady.

Na dużej przestrzeni gruntu budowlanego, przystrojonej chorągwiami i zielenią, zebrały się liczne zastępy delegatów oraz dygnitarze kraju z marszałkiem hr. Badenim na czele. Poświęcenia dokonał ks. biskup Bandurski, który następnie przemówił w gorących słowach. Dalsze przemówienia wygłosili: zasłużony prezes instytucyi, poseł Artur Zaremba Cielecki, prezydent miasta Ciuchciński, oraz reprezentant Kółka rolniczego w Kozielnikach, włościanin P. Sajan. Na zakończenie odśpiewał chór „Echa“ kilka pieśni narodowych.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach „Kółek rolniczych przedstawiające zebranych tam dygnitarzy.



Fot. M. Münz we Lwowie.

Gmach kółek rolniczych we Lwowie: Dygnitarze, zebrani na uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach Kółek rolniczych: 1. Marszałek kraj. hr. Stan Badeni. 2. Wiceprezydent namiestn. hr. Łoś. 3. Prezydent m. Lwowa Ciuchciński. 4. Radca dw. Struszkiewicz. 5. Wiceprezydent Neumann.

Kronika tygodniowa.

Od pewnego czasu coraz bardziej powątpiewam, czy my Polacy należymy rzeczywiście do plemienia słowiańskiego. Gdybyśmy bowiem należeli, powinnibyśmy mieć pewne cechy wspólne z innymi braćmi Słowianami — tymczasem tych cech ani rusz dopatrzeć się nie można. Oto n. p. weźmy najbliższych nam braci Rusinów i porównajmy ich temperament z naszym, ich zdolności, energię, wymowę, ideały z naszymi. Wszak to w Galicyi nie tylko nasi sąsiedzi, ale współobywatele; wszak żyjemy z nimi od wieków pomieszani, połączeni krwią, wszak ruszczyliśmy się i polszczyliśmy wzajemnie, wszak niema szlachcica polskiego, któryby nie miał krwi ruskiej w sobie, wszak na odwrót niedawnymi czasy nie było inteligentnego Rusina, w którym nie byłoby przymieszki krwi polskiej stąd też co niemiara było takich, co się uważali za *„gente Rutheni, natione Poloni“*. Te związki krwi były bardzo częste i pomiędzy mieszczanami, a nawet między ludem. Łączy nas przytem jedna wiara i bliskie pokrewieństwo językowe. Jeżeli więc gdzie, to tu przynajmniej powinny być wspólne cechy bardzo wybitne. A tymczasem możnaby całe tomy napisać o tem, jakie nas dzielą różnice a tylko bardzo głęboki dostrzegacz mógłby z trudem wyliczyć co najwyżej w drobnym artykuliku wspólne cechy tej pary słowiańskiej, żyjącej pod jednem niebem na jednej ziemi.

Oto świeżo parlament wiedeński był świadkiem, jak się różnimy pod każdym względem z Rusinami. My Niemców nie bardzo kochamy i walczymy z ich najazdem na kresach wschodnich, a posłowie ruscy chwalili się przed posłami niemieckimi (jak zapewnia „N. W. Tagblatt“), że Rusini są „strażą i podporą Niemców na wschodzie“. My przy rozprawach nad wyborami galicyjskiemi wyrażaliśmy życzenie zgodnego pożycia ze sobą obu narodowości, oświadczaliśmy, że „chęci do tej zgody po stronie polskiej nie zabraknie“, że „pragniemy porozumienia przy wzajemnem strzeżeniu swych praw narodowych i politycznych“ — a Rusini wystąpili w roli rezunów i katów. Przeczytajmy sobie tylko to, co mówił p. Budzynowskij, a chyba musi nam każdy przyznać, że takiego wylewu nienawiści nie słyszało żadne europejskie ciało ustawodawcze.

Dowiedzieliśmy się, że wybory przeprowadzała „najbardziej łajdacka centralna władza krajowa“ wraz z „polskimi bandytami“, że „Rada szkolna szaleje(!) trzykroć więcej niż dzikie bestye“, że „nauczyciele polscy są to „pomocnicy oprawców“, a nauczycielki to „metresy“ (!) inspektorów i starostów, że ze szkół ruskich wypędzane są(!) ruskie nauczycielki, aby „ustąpić miejsca dziewkom powiatowych bandytów“, że nauczyciele polscy karzą dzieci ruskie, niechcące śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła“ (!). Następnie p. Budzynowskij nazwał nas wprost złodziejami, rozbójnikami, przybłędami; wreszcie oświadczył szlachcie polskiej na Rusi, że „będzie wisiała na suchych wierzbach“, lub też „otrzyma śmierć więcej honorową“. „Zaprowadzimy was — *„ipsissima verba“* czcigodnego posła — nad San, tam młyńskie kamienie poprzywiązujemy wam do szyi i do wody!“ Pan Budzynowskij oznaczył nawet termin tego „radykalnego środka“, a mianowicie zostawił nam dwa, a najwyżej trzy lata do poprawy, poczem „nastąpi pogrom, który nas zmiecie z oblicza ruskiej ziemi...“

Rzecz postawiona jasno, ale nie idzie nam o te „strachy na Lachy“. Idzie o to, że nigdy Polacy nie wzniosą się do takiej prawdy, jak owe opowiadania o nauczycielach, że nigdy nie byliby w możności okazać takiego temperamentu, co pan Budzynowskij, że żaden z nich nie umiałby mówić z takim zapałem i otwartością, że żaden nie posiada tak szlachetnych dążności, że nikomu z nich na myśl by nie przyszło nawet największym wrogom grozić szubienicą lub masowem wytępieniem, czy to w nurtach jakiej rzeki, czy przy pomocy pogromu. Nie, ze wstydem musimy wyznać, że nigdy, choćby nam przyszło zejść z oblicza wszelkiej a nietylko ruskiej ziemi, nie dorośniemy do tych „słowiańskich“ ideałów, nigdy podobnie bezczelnemi kłamstwami nie skazimy ust naszych, nigdy nie chwycimy za hajdamackie noże w obronie praw naszych, nigdy nie okażemy takiego temperamentu i takiej nienawiści, co ci p. p. Rusini, Małorusini, czy Ukraińcy, którzy do tej chwili jeszcze się nie zdecydowali, czem są i jak się nazywają.

Nie posiadamy również i ich zdolności wokalnych, ani energii w waleniu pulpitami. Nigdy parlament wiedeński, berliński, ani Duma rosyjska nie usłyszy nas śpiewających chórem podczas posiedzenia. Nawet Niemcom było za dużo tego wycia. „Extrablatt“ kpi sobie z tych głosów ochrypłych“, z tego zamienienia parlamentu w „Café chantant“ i oświadcza, że była to próba rozbicia parlamentu, było to „wyzucie się z wszelkiej przyzwoitości“. „Fremdenblatt“ uważa, że Rusini postępowaniem swojem zadali „najcięższy cios swoim własnym interesom“. Tylko „N. fr. Presse“ cieszy się, że była to pieśń grobowa słowiańskiej większości, „która o tych biednych(!!) braciach nic wiedzieć nie chciała (!)“.

Wspólnych cech „słowiańskich“ nie możemy też odnaleść między sobą a Chorwatami. Tylko, o ile różnice, zachodzące między nami a Rusinami, nie bolą nas i nie wstydzą, o tyle nie mamy wielkiego powodu do radości, że nie jesteśmy podobni do Chorwatów. Choć, co prawda, są to ludzie bardzo źle wychowani. Proszę sobie wyobrazić, że robią awantury i to na wielką skalę, o byle jakie głupstwo. Atakują rząd w sejmie węgierskim, urządzają olbrzymie demonstracye, ogłaszają bojkot przemysłu węgierskiego, bardzo niegrzecznie obchodzą się z nowym banem Rakodczayem za to tylko, że dbały o „jedność państwową“ rząd węgierski chce, aby język państwowy był dominujący na kolejach żelaznych w Chorwacyi i aby każdy urzędnik kolejowy posiadał znajomość języków węgierskiego i chorwackiego. I taki niewinny projekt spotkał się z taką opozycyą! Co innego u nas. Myśmy obchodzili już dawno jubileusz serdecznych stosunków z rządem wiedeńskim, a zarazem jubileusz naszego „decydującego stanowiska“ w parlamencie austryackim, a czy przyszło nam na myśl gniewać się kiedy o to, że nietylko cała korespondencya, ale cała manipulacya na kolejach galicyjskich odbywa się w języku niemieckim, że nietylko każdy urzędnik, ale każdy maszynista, konduktor, dozorca wypełnia blankiety tylko w języku niemieckim; że wogóle niema żadnego „zderzenia się“ na kolejach galicyjskich z językiem polskim. Czy pogniewał się kiedy jaki nasz dziennikarz, że zamiast biletu wolnej jazdy otrzymał „Frei-Karte“ wypełnioną całkiem po niemiecku, z nazwiskiem jego i tytułem wypisanym w języku niemieckim — a Chorwat byłby gotów do awantury, gdyby mu dano jakiś „Besamteremtete-Bileton“ (przypuszczam, że tak się „Frei-Karte“ po węgiersku nazywa). Cóż to za radość panowała na naszym kolczykowania świń padole, kiedy ministeryum przed kilkunastu laty zrobiło dla kraju ustępstwo i pozwoliło wołać *„gotuj“* zamiast *„fertig“*. Jak czuliśmy się dumni, kiedy obok „Saybuscha“ pozwolono położyć napis „Żywiec“ lub Nowy Sącz obok „Neu-Sandeza“. Tak, tak, panowie Chorwaci — uczcie się od nas lojalności i dobrego wychowania. Ktoby tam kłócił się o taką bagatelę, jak język na kolejach.

Jestem najsilniej przekonany, że o takich bagatelkach nie wspominano nawet urzędnikom ministerstwa kolejowego, bawiącym u nas w gościnie. Przy sposobności muszę zaznaczyć (przyznanie się, maże połowę winy), że zbyt lekkomyślnie zarzuciłem urzędnikom ministeryalnym zbyt powierzchowne zwiedzenie Krakowa. Sądziłem, że zdobyli oni swego rodzaju rekord turystyczny, w trzy godziny obejrzawszy całe miasto, jego gmachy starożytne, zabytki, pamiątki, muzea. Tymczasem rekord pod tym względem należy przypisać dwu Anglikom, którzy przybywszy do Luksemburga, zatrzymali się przed „Grand-hotel Brasseur“, kazali sobie podać herbaty i zaprowadzić się na najwyższy szczyt domu, t. j. na dach. Rzucili z dachu okiem na miasto, powiedzieli: *„beautyfull“*, zrobili zdjęcie fotograficzne — i po 3 minutach odjechali samochodem. Sądzimy zatem, że podczas drugiej wycieczki panów szefów, jeżeli taka nastąpi, należy zawieść ich wprost pod kościół maryacki, wyprowadzić na wieżę i odwieźć ich zaraz na kolej, aby dalej w ten sposób zwiedzili resztę Galicyi...

Dlaczego tej wycieczki nie zawieziono do Lwowa, stolicy kraju, tego domyślić się nie mogę. Może Lwów obawiał się, aby goście nie zauważyli kolosalnej różnicy między teoryą a praktyką, to jest między wystawą hygieniczną, jaką Lwów urządził, a hygienicznemi urządzeniami i stosunkami samego Lwowa. W ostatnich dniach do tych stosunków przybył ładny szczegół. Jakaś pani Ostrowska, właścicielka zakładu pogrzebowego, karmiła swoich pracowników zepsutem mięsem ze zdechłego konia. Podobno ta zacna matrona umieszczona będzie pod kloszem na lwowskiej wystawie hygienicznej.

Na rok przyszły zapowiada Lwów wystawę... rogów. Urządza ją Towarzystwo łowieckie. Bliższych szczegółów jeszcze dzienniki nie podają, więc nie wiadomo, czy zostaną uwzględnione rogi małżeńskie. Byłyby one największą atrakcyą wystawy...

Nie znaczy to, abym posądzał Lwów i wogóle Galicyę, że zajmuje się wybitnie i specyalnie produkcyą tych okazów. Kult rogowo-małżeński wszędzie stoi wysoko, nawet w Anglii, pomimo że słynie z surowości obyczajów. Tę opinię o Angielkach wydają same Angielki. Jeden z londyńskich krytyków literackich opracował ciekawą pod tym względem statystykę. Oto na 80 najnowszych powieści angielskich, w 17 przedstawiono małżeństwa jako instytucyę przeżytą, w 11 wykazano konieczność rozwodów, 22 powieści apoteozują wolną miłość, 7 romansów ośmiesza wierność małżeńską — pozostałe 23 utwory poświęcone są omawianiu małżeństwa w sposób najskandaliczniejszy. A wszystkie te powieści zostały napisane przez.... kobiety.

Co nasze kobiety myślą o małżeństwie, wiemy aż nadto dobrze z ich zjazdów i wieców. Mniej bowiem one piszą a więcej gadają. A propos tej skłonności kobiecej do wymowy, ciekawy odczyt miał p. d'Arsonval na jednem z ostatnich posiedzeń Akademii nauk w Paryżu. Przedstawił on mianowicie wynik badań naukowych, prowadzonych w tym kierunku przez dra Maragea. Uczony ten przekonał się, iż kobiety wskutek odmiennego typu oddechania daleko mniej, bo aż cztery razy mniej męczą się przy mówieniu, niż mężczyźni. Kobieta przeto 3 godziny i 59 minut mówiąca mniej się męczy, niż mężczyzna, mówiący równą godzinę.

A więc „języczek niewieści“ jest specyalnym darem natury, a nie następstwem prostego zamiłowania i usilnych ćwiczeń. Z potęgą tą liczyć się należy, gdyż godzinna zwykła pogawędka według dra Maragea odpowiada 48 kilogramometrom, to jest pracy podnoszenia co sekundę przez godzinę 13 gramów na jeden metr wysokości. Pomyśl sobie zatem, szanowny małżonku, że połowica twoja przecięciowo przez 10 godzin dziennie obracając języczkiem, dokonywa pracy, odpowiadającej 480 kilogramometrom. Na miesiąc to wyniesie 14.400, a na rok 172.800 kilogramometrów.

Najnowszy występ Rusinów w parlamencie.

(Do illustracyj na stronie 17).

Największy wróg Rusinów nie mógł im wyrządzić gorszej szkody moralnej, jak poseł Markow swem wystąpieniem w parlamencie.

Sprawa pokrótce tak się przedstawia. Klub ruski przed niedawnym czasem złożył wniosek w sprawie urlopowania żołnierzy na żniwa, zupełnie więc zbytecznem było poruszać znowu tę sprawę, lecz pan Markow chciał przedstawić się w Izbie, kim jest, a że umysłowość jego nie pozwala mu na samoistne wystąpienie, zgłosił więc wniosek nagły w tej samej sprawie i gdy otrzymał głos dla jego uzasadnienia, ku konsternacyi wszystkich posłów zaczął przemawiać po rosyjsku. Odrazu stworzył nową narodowość, należącą do monarchii austryackiej.

Po pierwszych jego słowach w Izbie podniosły się żywe protesty i głosy: to nie jest język krajowy. Wiceprezydent Zaczek zwrócił p. Markowowi uwagę, lecz gdy ten nie zważając na to, w dalszym ciągu przemawiał w języku rosyjskim, ode brał mu głos. W końcu p. Markow zmienił mowę rosyjską na niemiecką, nikt go jednak nie chciał już słuchać. Skutki też owego wystąpienia zaraz odczuł p. Markow, bo wielu posłów orzekło, iż choć uznają słuszność wniosku, głosować będą przeciw, gdyż jest to rzeczą wprost niesłychaną, iż wnioskodawca przemawiał po rosyjsku. Przeciw wnioskowi oświadczyła się cała Izba z bardzo nielicznymi wyjątkami. Wystąpienie p. Markowa, który w każdym razie należy do narodowości ruskiej, choć nie należy do Klubu ruskiego, rzuca nowy a prawdziwy snop światła na politykę Rusinów wobec Polaków i na ich ciągłe, bezzasadne utyskiwania.

Pan Markow swą osobą i dał odpowiedź Björnsonowi i wyjaśnił Izbie gwałtowne napady ze strony Rusinów na posła Starzyńskiego.

Bombiści przed sądem.

W każdej walce rewolucyjnej możemy rozróżnić dwa okresy: jeden myśli, drugi czynu, jeden podziemny, drugi widomy. Ten pierwszy jednak jest istotną walką, bo drugi tylko jego skutkiem. Publiczność żądna sensacyi, rozczytuje się w zgrozą przejmujących opisach wybuchów bomb, gdzie ofiar bywają dziesiątki, gdzie z żyjącej jednostki nie pozostaje ani śladu, a jeżeli wypadek taki nastąpi na ludnych ulicach, co sprowadza większą liczbę ofiar, szyby lecą z okien, jeden okrzyk przerażenia wyrywa się z wszystkich piersi. Ludzie nie dotknięci bezpośrednio wybuchem, wkrótce przechodzą do powszedniości życia i słusznie, bo dla ustroju państwowego straszniejszem od tego zamachu, były przygotowania doń czynione, gdzie większa liczba osób zdeterminowanych na wszystko, gdzie znaczne sumy pieniężne, gdzie dłuższy przeciąg czasu wskazują, iż to nie jest jeden sporadyczny wypadek, lecz długa działalność, która co jakiś czas będzie się w ten straszny sposób ujawniała.

Zamachy czynione w dawnych czasach na wybitne osoby nie były tak straszne, bo rzadko istniało do wykonania jego sprzysiężenie, przeciwnie były to zamachy, że tak powiemy sentymentalne, wynikające z pobudzonego, obolałego uczucia jednostki. Dzisiaj śledztwo wykazuje zawsze całe grupy osób należących do wykonania zamachu; jeżeli bezpośrednimi wykonawcami czynu były dwie, trzy osoby, to dla doprowadzenia go do skutku pracowało ich wielu. Rządy też starają się teraz uchwycić nić na samym początku, gdy jej jeszcze nie wiele rozwinęło się z kłębka, by przyszły czyn zdusić w samym zarodku. Trudno tu poradzić sobie nawet przy całej armii policyi, bo i rewolucyoniści coraz więcej doskonalą się i wytężają spryt, by nietylko nie dać się złapać, ale żeby i w błąd wprowadzić w policyę. O ile przy wykryciu policya zdobywa, o tyle konspiratorzy tracą, walka więc ukryta przed oczami publiczności trwa ciągle i więcej zawzięta, niż szersze koła publiczności domyślają się tego.

Jednym z epizodów tej ciągłej walki, jaka obecnie toczy się w Rosyi, było odkrycie przed niedawnym czasem we Finlandyi, w miejscowości



Konsul niderlandzki we Lwowie Adwokat dr. Witkowski mianowany konsulem niderlandzkim we Lwowie.
(Do artykułu na stronie 4).



Fot. A. Drankow, Petersburg.
Bombiści przed sądem: Przesłuchanie jednego z oskarżonych w sali sądowej.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
»Wesoła wdówka«: Poselstwo czarnogórskie w Paryżu z p. Lelewiczem na czele.

Kuokkoli całej szkoły bomb, nie tylko je bowiem tam przyrządzano, lecz i uczono licznych teraz adeptów tej sztuki, jak ten oręż „par excellence“ rewolucyjny fabrykować należy. Mniej więcej przed miesiącem zdaliśmy z tego odkrycia sprawę

Godnem uwagi jest tutaj, iż pomimo nawału prac, jakich mają podostatkiem w tych burzliwych czasach sądy rosyjskie, sprawy toczą się daleko szybciej, niż to było dotychczas we zwyczaju w rosyjskiem



Fot. A. Drankow Petersburg.

Bombiści przed sądem: Oskarżeni o fabrykacyę bomb rewolucyonliści.
Suworow. Michajłow.



Kulturträger-wieszatel: 1. Major Donath. 2. Sekretarz magist. Wilhelm, powracający z rozprawy. Fot. Dietrich et Comp. Monachium

publiczności, podając zarazem illustracye, przedstawiające wnętrze tego laboratoryum bomb; dzisiaj możemy przedstawić i samych aresztowanych przy rewizyi, jak i salę sądową podczas zeznań jednego z oskarżonych.

ministeryum sprawiedliwości. Lecz i tutaj praktyka wiele pomogła, a również i przykład sądów polowych, kiedy to we dwie doby wyrok nietylko wydano, ale i wykonano.

„Wesoła wdówka“.

Kraków może więc nareszcie odetchnąć swobodnie i z pewną ulgą. Po długiej tęsknocie doczekał się nareszcie „Wesołej wdówki“. Ujrzał ją i usłyszał. Zjechała nad Wisłę w szacie odświętnej miluchna, rozkoszna, urocza, by rozweselić i roz-



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis, Kraków.

»Wesoła wdówka«: Gryzetki od Maksyma z p. Kasprowiczową pośrodku.

pogodzić przygnębione kanikułą umysły, zjechała na pociechę „słomianych wdowców“.

Powitanie było nietylko ciepłe i serdeczne, ale niemal uroczyste. Teatr zapełnił się do ostatniego — dosłownie — miejsca, a gdyby tych miejsc było i dwa i trzy razy tyle, jeszcze by ich zabrakło. Bo „Wesoła wdówka“ przybyła do Krakowa z opinią bardzo dobrą, chwalona zgodnie głosami Wiednia, Berlina, Hamburga, Londynu, Lwowa — wszystkich wogóle miejscowości, gdzie się tylko pojawiła.

I słusznie! Jest to bowiem operetka jedna z najpiękniejszych, jakie w ostatnich latach pojawiły się na scenach europejskich. Muzyka lekka, pełna wdzięku i uroku, owiana pewnym słowiańskim smętkiem; libretto tryskające życiem i humorem a przytem z lekka zmysłowe, choć bez pornografii. Czegóż więcej można od operetki wymagać? A nadto wystawa bardzo staranna, bogata, kostyumy oryginalne, mnóstwo lamp różnokolorowych i efektów świetlnych, balet szampański, gryzetki wprost od Maksyma — wszystko to podobać się musi i działa prawie upajająco.

Ale przedewszystkiem muzyka! Taka pieśń o o rusałce Wilii, walc „Usta milczą“ lub powiastka o królewnie i królewiczu, toć przecie są rzeczy dziwnie melodyjne, wdzięczne i miłe. I w nich leży tajemnica — o ile to może być tajemnicą — powodzenia operetki, a nie w suggestyi Lwowa czy Wiednia i nie w wiedeńskiej marce „Wesołej wdówki“. Bardzo słabym jest tylko przekład libretta, a niektóre ustępy wprost komiczne. Taki np. rym:

Jam dla Maksyma gość —
Tam mnie kochają dość

jest rozpaczliwie śmieszny.

Wykonanie „Wesołej wdówki“ na scenie krakowskiej było na ogół bardzo dobre. Zasługa to w pierwszej linii dyrygenta, prof. Słomkowskiego i reżysera p. Lelewicza, którzy w przygotowanie tej operetki we Lwowie włożyli niemało trudów. Dalej należą się słowa najgorętszego uznania pni Kasprowiczowej, która śpiewała wybornie a grała i tańczyła wprost bajecznie, oraz wykonawczyniom tytułowej roli pp. Schupp i Miłowskiej. PP. Krzemiński i Sulikowski w swych rolach epizodycznych byli prawdziwie wytwornymi. Nawet chóry, które niejednokrotnie w ciągu sezonu spisywały się fatalnie, w „Wesołej wdówce“ śpiewają równo i czysto. Osobna wzmianka należy się doskonałemu baletowi, w szczególności pp.: Staszkównej, Sachsównej, Trojanowskiemu i Sachsowi, jakoteż uroczym gryzetkom.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy dwa zdjęcia z „Wesołej wdówki“. Jedno z nich przedstawia sekstet gryzetek od Maksyma z p. Kasprowiczową w pośrodku, drugie członków poselstwa czarnogórskiego w Paryżu. *tr.*

Kulturträger — wieszatel.

Coś się psuje w państwie pruskiem. Co raz dochodzą nas wieści z tego państwa „bojaźni bożej“ o skandalicznych procesach, toczących się nietylko z powodu milionowych defraudacyj, lecz i wyuzdań płciowych, połączonych ze strasznem okrucieństwem. Jeden duch przenika obecnie rząd pruski i jego wykonawców, jedna i ta sama występuje kultura tylko pod zmienną formą czy w Poznańskiem, gdzie katuje się dzieci, zmuszając je do pruskiej modlitwy, czy w Afryce, gdzie pruski kulturträger niszcząc całe wsie, tworzy dla siebie haremy, skazując na śmierć nieposłuszne jego chuciom niewolnice.

Ostatnim bohaterem kultury pruskiej jest dr. Peters, komisarz rządowy w koloniach niemieckich, słusznie zwany: „Hängepeters“ — Peters wieszatel...

Kultura pruska w czynach p. Petersa dziwnie się jakoś przedstawia. W drugiej połowie zeszłego stulecia zniesiono już wszędzie niewolnictwo, lecz p. Peters osądził, że potrzebne jest ono dla kultury pruskiej i siłą pięści z wolnej ludności poczynił sobie niewolników, by służyli jego wyrodzonym popędom. Wsławił się też p. Peters takimi czynami. Kazał powiesić młodego murzyna Mabruka za to, że miał podobno stosunek miłosny z jego niewolnicą Jagodżą, którą groźbą śmierci zmuszał do zaspokajania swych wyuzdań. Gdy Jagodża dwa razy umknęła z tych więzów miłosnych, sprowadził ją siłą Peters i kazał do krwi wychłostać rzemiennym batem, a rany od tej chłosty jeszcze nie zaskrzepły dobrze, gdy kazał tę nieszczęśliwą ofiarę oćwiczyć poraz drugi i założyć jej kajdany. Gdy Jagodża umknęła znowu, odszukał ją i skazał na powieszenie. Przed własnym domem kazał wykonać swój zwierzęcy wyrok, któremu przypatrywał się z werandy z cygarem w ustach. Katusze tej ofiary były straszne, gdyż bito ją tak długo, aż nie stała się *„ganz kaput“*, jak wyrażają się świadkowie tej operacyi.

Wyuzdanie cielesne doprowadzał p. Peters do tego stopnia, iż dla zaspokojenia swych podrażnień płciowych, kazał murzynom, niosącym ciężary, wyliczyć po 50 batów, by rozkoszować się ich męką; a jak sam się chwalił, pewnego murzyna chłostał tak



Fot. Dietrich & Comp. Monachium.
Kulturträger-wieszatel: Skazany za obrazę Petersa redaktor Gruber (X), opuszcza gmach sądowy po ogłoszeniu wyroku.



Fot. Dietrich & Comp. Monachium.
Kulturträger-wieszatel: 1. Dr. Peters. 2. Adwokat Petersa dr. Rosenthal.



Najnowszy występ Rusinów w parlamencie: Poseł dr. Dymitr Markow.

długo, aż ten ducha wyzionął. Do chwalebnych jego czynów, jak sam to głosił, należało i to, iż porwał 11 dziewcząt murzyńskich, które stały się ofiarą jego wyuzdania, a jaki był ich los, możemy wyobrazić sobie, jeżeli uwzględnimy, że widok ciał poszarpanych batem, sprawiał mu rozkosz cielesną...

Do innych czynów chwalebnych p. Petersa należały także fakty, którymi wprost chlubi się w swej książce: „Meine Emin-Pascha Expedition“, a mianowicie, iż „strzelał do murzynów na drzewach jak do wróbli“, że plemiona Masongów wypędził z ich siedzib, że pewnego pasterza, który mu nie ustąpił z drogi, celnym strzałem położył trupem, że pewnego dnia spalił sześć wsi murzyńskich itd.

Gdy te fakta piętnował poseł Bebel, na to odrzekł z zimną krwią Peters: Wypędziłem te plemiona ale za to, że one poprzedniego dnia spędziły moje osły z pastwiska, strzelałem do murzynów, ależ to byli nieprzyjaciele moi, co zaś do tego, że spaliłem sześć wsi jednego dnia, byłoby to bardzo brutalnem, gdyby to były wsie bawarskie, lecz to były małe nędzne wsie, które w ciągu godziny spaliły się. — W ten sposób odpierał zarzuty p. Peters. I oto człowiek o zupełnym zaniku poczucia moralnego został rozsadnikiem kultury niemieckiej w Afryce — widocznie taka też jest i ta kultura!

Wszystkie powyższe fakta podał redaktor Gruber w „Münchener Post“, lecz p. Peters uznał za stosowne obrazić się i wytoczył proces o obrazę czci. Urzędowi świadkowie nietylko, że fakta te potwierdzili, ale dodali wiele nowych szczegółów. Major Donath tak się o nim wyraził: „największym zbrodniarzem, jaki kiedykolwiek stał przedemną, jest dr. Peters“. Przy śledztwie wydobyto różne ciekawe momenta z poprzedniego życia Petersa. Dość przypomnieć tutaj, że niedawno zmarłemu fabrykantowi Kruppowi, osobistemu przyjacielowi cesarza Wilhelma II, Peters przez lat 15 służył do zaspokajania popędu płciowego. Ładnie rozpoczął swą karyerę pruski kulturträger!

Po stwierdzeniu zarzuconych Petersowi występków, sąd niemiecki wydał wyrok... — *„risum teneatis amici“* — redaktor Gruber został skazany na grzywnę w sumie 500 marek i ponoszenie kosztów procesu. Takimi sądami szczyci się państwo „sprawiedliwości i bojaźni bożej“.

Ryciny nasze przedstawiają: Petersa w towarzystwie adwokata dra Rosenthala, red. Grubera i jednego ze świadków maj. Donatha w chwili, gdy po wydaniu wyroku opuszczają pałac sprawiedliwości w Monachium.



Filomena Łopatyńska.

Filomena Łopatyńska.

Bohaterką dotychczasowej kampanii lwowskiej opery w Krakowie, jest bezsprzecznie p. Filomena Łopatyńska. I to z dwu względów. Raz dlatego, iż dwoma partyami, które dotąd śpiewała, tj. Santuzzą w „Cavallerii“ i Halką, wysunęła się na czoło lwowskiej drużyny artystycznej i wstępnym bojem zyskała sobie uznanie krakowskiej publiczności, powtóre dlatego, iż jest jedyną przedstawicielką partyj dramatycznych.

Sympatyczna ta artystka jest siłą istotnie nieocenioną. Obdarzona głosem dużym, doskonale wyszkolonym, dźwięcznym i miłym zarówno w średnicy jak i w tonach górnych, włada nim z wielką pewnością, umiejąc wydobyć tony szczerze liryczne, albo akcenty na wskróś dramatyczne. Artystka wytrawna, ze sceną obyta, bo na niej od wielu lat pracuje, w każdej roli tak w operetce, jak w operze jest doskonałą. Ułatwia jej to w znacznej mierze miła, ujmująca powierzchowność i wdzięk naturalny, tak cenne zalety artystki.

Karyerę sceniczną rozpoczęła p. Łopatyńska na deskach teatru ruskiego, którego kierownikiem był podówczas jej mąż, obecnie redaktor „Ruślana“ i autor dramatyczny. Zaangażowana następnie przez dyr. Pawlikowskiego, przeniosła się na scenę lwowską, gdzie początkowo śpiewała partye operetkowe. Równocześnie kształciła się dalej u prof. Wysockiego i dyr. Barącza, a rozwijający się coraz piękniej jej materyał głosowy zwrócił na utalentowaną artystkę powszechną uwagę. Powierzano jej więc partye operowe, a powodzenie i uznanie towarzyszyło jej stale.

W ubiegłym sezonie operowym we Lwowie śpiewała bardzo rzadko. Dlaczego — pozostanie zapewne tajemnicą dyrekcyi. Kraków ma więcej szczęścia. P. Łopatyńska śpiewała tu dotąd dwa razy Santuzzę i raz Halkę a śpiewać ma jeszcze Rachelę w „Żydówce“ Halevy'ego. Wszystkie te partye mają podkład dramatyczny, wymagają więc nietylko głosu silnego i dźwięcznego, ale nadto gry dobrej i pewnej. Pod tym względem odpowiedziała p. Łopatyńska najzupełniej wymaganiom, a w ulubionej swej partyi, w „Halce“, uzyskała sukces wprost nadzwyczajny. Głosowo usposobiona doskonale, śpiewała artystka trudną tę partyę z ogromnem przejęciem, wkładając w nią cały zasób swych skarbów wokalnych. Arya „gdyby rannem słonkiem“, arya przepiękna i tak rzewna, dała p. Łopatyńskiej sposobność wykazania, iż głos jej brzmi równie pięknie w melodyach lirycznych. *tr.*

Z lwowskiego bruku.

(Kanikuła. — Popisy. — Wąż, ale nie morski. — Inne węże. — O pewnej damie, jej mężu i kuzynie. — Przy winie. — Nagły powrót i konferencya domowa. — Wspólny wyjazd. — Padlina. — Pierwszy występ prezydenta. — Lwów bez wrażeń artystycznych. — Temat do interpelacyi).

A więc zaczął się sezon martwy; kanikuła w całem tego słowa znaczeniu, którą poprzedziły arcynudne popisy wszystkich zakładów przeważnie żeńskich i przeważnie muzycznych. Niektóre z tych popisów były co prawda bardzo zajmujące, ale wytrzymanie kilku godzin w sali koncertowej podczas takich upałów nie należy do przyjemności tak samo, jak i pisanie w tym czasie listów „z bruku lwowskiego“.

Przyznać jednak potrzeba, że pomimo kanikuły tematów mamy dość i nie potrzebujemy szukać wężów morskich. A nawet mieliśmy prawdziwego węża i to lądowego, którego znaleziono gdzieś w wagonie kolejowym i zabito. Zgubiła go podobno w wagonie jakaś przystojna przyrodniczka, która wiozła ten okaz na wystawę przyrodniczo-lekarską. Wąż — jak się okazało — nieszkodliwy, jest już nieboszczykiem, ale żyje w pamięci lwowskich obywateli, którzy wyjeżdżając teraz na lato, rozglądają się po wagonie kolejowym, czy nie ma jakiego węża. Zwłaszcza panie nerwowe odbywają teraz przeważnie podróż stojąco w obawie, aby im się nie zabłąkał jaki nieproszony wąż...

A takich nieproszonych wężów jest w tej chwili wielkie mnóstwo. Teraz, kiedy wszystkie piękne panie nagle uczuwają w sobie jakiś błąd, jakąś wadę serca czy innego organu, jakąś bodaj niedo... jakże tam — aha! — niedokrewność, jakiś jednem słowem brak, który tylko za granicą da się usunąć, uzupełnić, naprawić...

Taka właśnie dama, która przez cały rok pytała rozmaitych lekarzy, co jej być może i dowiedziała się nareszcie, że powinna wyjechać koniecznie do Franzensbadu, w zeszłym tygodniu zostawiła męża i dzieci i wyjechała. Zabrała ze sobą tylko najkonieczniejszą toaletę i jakiegoś kuzyna, który przypadkowo zapadł na tę samą chorobę i jechał się leczyć na nerwy, czy coś podobnego. Mąż oczywiście nic nie wiedział o tem, że jej kuzyn wyjeżdża, bo już dawno nie podobał mu się ten kuzyn i jego bywanie i kwiaty, jakie swojej kuzynce przynosił i książki do czytania i inne przyjemne rzeczy, ot, jak zwykle kuzyn kuzynce. Trzeba jednak dla ścisłości dodać, że mąż, chociaż wiedział o wielu rzeczach, nigdy żonie żadnych wyrzutów nie robił, bo w gruncie rzeczy nie miał do tego żadnej realnej podstawy a na samych domysłach tylko chyba c. k. prokurator buduje akt oskarżenia.

Trzeba nieszczęścia, że pan mąż zwąchał się z jakimś dawnym kolegą i od słowa do słowa zaczęli mówić o żonach, o wyjazdach i innych małżeńskich sprawach. Dwaj słomiani wdowcy poszli z knajpki do kawiarni i tu pod wpływem wina, zmieszanego z innymi alkoholami, wpadli w rzewny ton...

I teraz kolega zaczął od słów:

— Wiesz, nie chciałem ci tego mówić, bo by cię to bolało...

I tu wyśpiewał wszystko, co wiedział. Słyszał od znajomego, który znów słyszał, że sąsiad mówił, jak to jeden facet ma brata, a ten brat zachodzi do swojej kuzynki, mężatki... aha! No i ludzie mówią o tem bardzo głośno, nawet coraz głośniej, nawet podobno różne nieładne rzeczy sobie podają...

Mąż wytrzeźwiał odrazu. Pożegnał się, poszedł do domu, zaglądnął do rozkładu jazdy i pojechał tej samej nocy „blicem“...

W trzy dni później wrócił a z nim żona. Od kilku dni wcale nie pokazuje się na ulicy. Równocześnie przyjechała z Krakowa jej matka, wezwana telegraficznie na sąd. Chodziło o rozsądzenie, a raczej o odpowiedź na pytanie: czy wolno kuzynowi i kuzynce zameldować się w obcem miejscu jako mąż i żona, a to w celu ochrony honoru kuzynki?

Matka przykładami ze swego życia odpowiedziała, że wolno. Ona sama tak często robiła i to tylko dlatego, ażeby jako samotna mężatka w obcem miejscu uniknąć nagabywania. Mąż był przeciwnego zdania i poprosił stanowczo, aby się to już nigdy nie powtórzyło. Przyrzeczono i przyjęto. Teraz wyjadą razem, ale już nie do Franzensbadu, bo żona w międzyczasie nabawiła się już innej choroby, podobno żołądkowej.

Poza tem we Lwowie nie wiele nowego. Jakaś właścicielka zakładu pogrzebowego urządziła swojemu personalowi letnią kuracyę, bardzo oryginalną. Zdechł jej koń karawaniarski a ona poćwiartowała jego ciało i żywiła niem swoich „żałobników“, tj. tych, którzy robią honory nieboszczykom, odprowadzając ich na cmentarz w czarnem, galowem ubraniu. Dobra pani pójdzie podobno do kozy za żywienie ludzi padliną i to cuchnącą.

Niezależnie od tego mieliśmy w Radzie miejskiej kanikularną interpelacyę o komarach. Radny Feldstein, ktory razem z opozycyą był przeciwny wyborowi p. Ciuchcińskiego na prezydenta miasta, już od początku jego prezydentury czekał na sposobność, aby nowego prezydenta wpędzić w kozi róg. Aż oto zainterpelował na onegdajszem posiedzeniu Rady miasta:

— Co pan prezydent zamierza uczynić, aby wytępić plagę komarów, która tak bardzo daje się we znaki mieszkańcom?

P. prezydent nie poznał się na żarcie, gdyż interpelacya trzymana była w tonie bardzo seryoznym, poskrobał się więc w czuprynę, pomyślał chwilę i powiada, że postara się złe usunąć i odda sprawę fizykatowi miejskiemu do zbadania i zapobieżenia pladze.

To pierwsze zasypanie się prezydenta zrobiło zresztą tylko słabe wrażenie i sam ciekaw jestem, co odpowie fizyk miejski, gdy mu przydzielą odnośny kawałek... Pewnie stanie, jak fizyk!

Tęskno nam bardzo za teatrem i są ludzie, którzy na palcach dni liczą, kiedy do nas wróci operetka. Nawet Colosseum zamyka swój lokal na lato, tak że gdyby nie cyrk, jaki się tu wkręca od 15 b. m., Lwów byłby przez dłuższy czas pozbawiony wszelkich wrażeń „artystycznych“.

A jedyna „Olympia“ dla tylu słomianych wdowców stanowczo nie wystarczy. Może który z radnych poruszy ten nowy brak na posiedzeniu rady, np. pan Jonasz?

Kl.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

6 Ciąg dalszy.

Ale bądź co bądź narażasz się bardzo i radzę ci po przyjacielsku, abyś dał spokój temu nałogowemu uprawianiu erotyki. Tak, mój kochany chłopcze, czas już, abyś poszedł w moje ślady, ożenił się i żył spokojnie w domowem ognisku. Pamiętasz Jacques, cośmy to dokazywali w Paryżu przed laty, gdy ja byłem jeszcze studentem uniwersytetu, a ty młodziuchnym oficerkiem? Hej, hej! — szumiało się — co? ale ja się zmieniłem, jestem żonaty, żonę kocham, o miłostkach zakazanych nie myślę i zawsze mam przed oczyma ten paragraf prawa, który orzeka, że za wiarołomstwo małżeńskie jest kara dwuletniego więzienia. Jakoś ci się nie poszczęściło tym razem, bo mogłeś był okupić tę schadzkę na wieży drożej niż więzieniem, bo stryczkiem. Co za prawdziwe nieszczęście, żeby się znaleść na schadzce na wieży, w takiej chwili, w której jakąś kobietę na dół strącają.

— A więc mnie nie podejrzywasz o to?

— Jakże nawet możesz przypuszczać coś podobnego? Znam cię tak dobrze, iż nawet na chwilę nie mógłbym wątpić w twój charakter. Do takiej zbrodni zdolnym nie jesteś. Nie będę cię nawet przesłuchiwał według formalistyki urzędowej, ot, siadaj — pomówimy z sobą po przyjacielsku.

Przyjaciel sędziego usiadł, ale widocznie nie zdołał się jeszcze uspokoić i znać było na jego twarzy ciągłe zakłopotanie.

— Dobrze się stało, żeś nie podał swojego nazwiska w policyi, bo tym sposobem nikt się nie dowie, że Saint-Briac, rotmistrz kawaleryi, spędził noc w aresztach policyjnych, razem z włóczęgami i złodziejami.

— A więc policya nie dowie się od ciebie mojego nazwiska?

— Wcale nie. Nie jestem obowiązany zdawać jej sprawę z mojego postępowania i z moich zarządzeń. Mogę cię natychmiast uwolnić bez przesłuchania, bez spisywania protokołu, a nawet mam prawo zaprosić cię do siebie, byśmy razem wieczór spędzili.

— Dziękuję ci bardzo, ale dziś z gościnności twojej korzystać nie mogę.

— A to znowu dlaczego? Pomyśl tylko, jak moja żona będzie się doskonale bawiła, gdy jej opowiesz swoje przygody. Ale jakże się to stać mogło, że cię posądzono o morderstwo?

— Jestto dla mnie prawdziwą zagadką. Gdy schodziłem z wieży, zatrzymano mnie, uwięziono, zaprowadzono do szpitala i pokazano mi zwłoki nieznanej mi kobiety. Gdy z oburzeniem i zdumieniem domagałem się wyjaśnienia, czego właściwie odemnie żądają, odpowiedziano mi, że jestem posądzony o zrzucenie kobiety z wieży. Cóż miałem odpowiedzieć? Świadkiem katastrofy nie byłem, a nazwiska kobiety, która mi towarzyszyła, wymienić nie chciałem.

— Bardzo słusznie; ale przyznaj, że to dość dziki pomysł urządzać sobie schadzkę na wieży.

— Moja towarzyszka tego sobie życzyła.

— Czy ta twoja erotyka jest dopiero na stopniu platoniczno-sentymentalnych schadzek, czy też przeszła już w stadyum zażyłego stosunku?

— Ta pani nigdy nie była u mnie, ani ja też w jej domu nie doznałem niczego innego, prócz gościnnego przyjęcia, jakiego doznaje każdy inny gość, choćby najobojętniejszy. Wczoraj dopiero po raz pierwszy mieliśmy schadzkę, ale taką, jakąby mógł mieć brat ze siostrą.

— A jakżeście weszli na wieżę, nie spotkawszy strażnika?

— Drzwi kratowe zastaliśmy otwarte, więc weszliśmy pewnie przez nikogo nie spostrzeżeni. Zaledwieśmy poczęli wchodzić na wieżę, spostrzegłem wysoko nad nami dwie osoby: mężczyznę i kobietę. Oczywiście zatrzymaliśmy się w korytarzu, aby się z ową parą nie spotkać. Oni zapewne także unikali spotkania, bo dostrzegłem, że mężczyzna wsunął się prędko we framugę okna. Oczywiście nie troszczyliśmy się o nich, tylko zatrzymali się na korytarzu.

— A dlaczegóżeście razem nie zeszli?

— Wszystko się jakoś nie wiodło. Gdy moja przyjaciółka wyszła z domu, kupiła sobie po drodze niebieski welon, jakiego Angielki używać zwykły; jest to tkanina tak gęsta, że przez nią rysów twarzy dopatrzeć się nie można. Pod tym welonem nawet własny mąż byłby jej nie poznał. Gdyśmy się na balkonie zatrzymali, moja towarzyszka podniosła welon, a że był słabo przypięty, więc go wiatr zerwał i uniósł.

— A, to nie miła przygoda dla mężatki — rzekł sędzia, śmiejąc się.

— Co było czynić? Bez welonu nie mogła już ze mną pokazać się publicznie, więc prędko się oddaliła, a ja zatrzymałem się na wieży kilkanaście minut. Gdy już schodziłem na dół, zatrzymano mnie, uwięziono i nastąpiło to, o czem ci wiadomo.

— No, teraz już rozumiem wszystko; gdy ciebie sprowadzono na dół, prawdziwy zbrodniarz ukrył się tymczasem w pierwszym lepszym zakręcie, a potem wyszedł spokojnie przez kościół. Sprawa jasna, ale bądź co bądź musisz mi w zaufaniu nazwisko tej kobiety wymienić.

— Tego uczynić nie mogę i raczej dam się powiesić.

Ależ mój drogi, co innego policya, co innego ja. Nie przemawiam do ciebie jako sędzia śledczy, tylko jako przyjaciel.

— Czy może wątpisz w prawdziwość tego, co ci powiedziałem?

— Wcale nie. Ale rozważ, że ja przecież ogromną przyjmuję odpowiedzialność, uwalniając cię od wszelkiego śledztwa. Poczucie obowiązku sędziowskiego domaga się, abym stanowczo wiedział, że ta kobieta, z którą byłeś na wieży, istotnie żyje.

— Jakżebyś mógł się o tem przekonać? musiałbyś ją zapewne wezwać urzędownie do siebie, żądać zeznania, a bodaj wyjaśnienia. Nie, to niemożliwe. Byłbym niegodziwcem, gdybym ją na to narażał.

— Ależ to wszystko co mówisz, jest zupełnie zbyteczne. Anibym nie chciał, ani nie potrzebował narażać kobiety na taką kompromitacyę. Wystarczy mi wiedzieć jej nazwisko i adres, a wtedy poprostu zajrzę do spisu ludności i przekonam się, czy żyje. To wszystko. Co najwięcej postarałbym się, aby zręczny ajent policyjny wywiedział się, czy owa pani tego dnia, o tej godzinie wychodziła z domu.

— Mógłbym cię okłamać, gdybym był do tego zdolny; wymieniłbym ci pierwszą lepszą znajomą kobietę, aby cię uspokoić. Ale kłamać nie umiem i nie mogę, a prawdę ukrywać muszę.

— A czy ty wiesz mój drogi Jacques, że gdybym chciał, dowiedziałbym się prawdy i bez twoich wyznań? Gdybym polecił tajnej policyi, aby cię śledziła, miałbym wkrótce adres twojej towarzyszki.

— Tego nie uczynisz — zawołał Saint-Briac blady, przerażony.

— Nie uczynię, bo cię kocham jak brata i ufam ci, jak się ufać powinno człowiekowi honorowemu. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że takie erotyczne historye bywają niebezpieczne i często utaić się nie dadzą. Nie upieram się, ufam ci, w ciągu kilkunastu minut będziesz zupełnie uwolniony, a za to przyjdziesz do nas na obiad. Chciałbym, abyś od mej żony usłyszał surowe kazanie.

— Przecież nie będziesz jej o tem opowiadał?

— I owszem. Zabawi się twą przygodą doskonale i pomoże mi nakłonić cię do porzucenia erotycznych wypraw, a poszukania sobie pięknej, dobrej żony.

— Jednakowoż wolałbym, abyś tę sprawę traktował jako tajemnicę urzędową.

— Gdybyś nie był moim przyjacielem, gdybyś nie był najmilszym, najporządniejszym gościem naszego domu, toć rzeczywiście nie miałbym powodu opowiadać o tem Odecie i poniekąd mogłaby ta zabawna historya być urzędową tajemnicą. Ale nasze stosunki są tak braterskie, tak przyjacielskie, że w moim domu mogę śmiało o twojej przygodzie opowiedzieć żonie, przed którą nie miewam żadnych tajemnic, jak również i ona przedemną. Między nami jest taka szczerość, że niema drobiazgu nawet, o którymbyśmy sobie wzajem nie opowiadali.

Zdumienie ogarnęło dozorcę więzienia i straż policyjną, gdy sędzia wyszedł z uwięzionym pod rękę, kazał go wykreślić ze spisu aresztowanych i do bramy pałacu sprawiedliwości odprowadziwszy, najserdeczniej, po przyjacielsku go pożegnał.

Saint-Briac szedł zwolna, z głową spuszczoną. Nie okazywał zadowolenia, że go uwolniono; nawet przeciwnie: na twarzy miał jakiś smutek rozlany i niepokój. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, rozglądnął się wokoło, żeby znaleść dorożkę i pojechać do swojego mieszkania na Avenue d'Antin. Zatrzymał się chwilę i spostrzegł, że jakiś mężczyzna, prowadzący za rękę małego chłopca, bacznie mu się przypatruje. Rzucił bystro okiem na niego i zbliżając się nagle, rzekł:

— A, to pan! Czemuż mi się pan tak przypatruje? Zapewne to pana dziwi, że idę swobodnie, chociaż pan należałeś do tych, co mnie aresztować kazali.

— Mylisz się pan — odpowiedział Meriadec. — Zostałem wezwany przez sędziego śledczego na świadka i właśnie udaję się do pałacu sprawiedliwości, aby tam wyznać zupełnie szczerze, że pan stałeś się ofiarą nieporozumienia. Niewinność pańską stwierdziłem.

— Bardzo mi to przyjemnie, tembardziej, że sędzia śledczy powziął tosamo przekonanie i dlatego najzupełniej mnie uwolnił.

— Niech Szasza powie, czy zna tego pana — rzekł Meriadec, zwracając się do chłopca i wskazując na Saint-Briac'a.

— Nie. Tego pana widzę po raz pierwszy, — odpowiedział chłopczyna.

— Byłem tego pewien — rzekł Meriadec.

— Nie byłbyś pan łaskaw wyjaśnić mi, co znaczy ta konfrontacya? — zapytał Saint-Briac z odczuciem szyderstwa.

— To było tylko stwierdzenie, że policya dopuściła się wielkiego błędu i utrwalenie mego przekonania, żem powinien na pańską korzyść jako świadek zeznawać.

— Uprzejmie dziękuję za te dobre chęci, ale sądzę, że niepotrzebnie pan będziesz się trudził do sądu, bo mnie zupełnie uwolniono. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś się pan przestał zajmować moją osobą.

To rzekłszy, ukłonił się Saint-Briac od niechcenia i odszedł. Meriadec stał chwilę i rozmyślał, co dalej czynić. Po namyśle postanowił nietylko złożyć w sądzie zeznania, ale też i na własną rękę śledzić zbrodniarza. Powziął tę myśl dlatego, że usposobienie pchało go do szukania różnych przygód, że walka z wszelką niegodziwością była po części jedynem jego zajęciem. Dodać do tego trzeba, że o zręczności policyi miał najgorsze wyobrażenie.

Była godzina druga, a wezwanie do sędziego śledczego opiewało na trzecią, więc Meriadec puścił się z chłopcem na przechadzkę. Sasza oświadczył, że w ubraniu ulicznika chodzić po mieście nie będzie i prosił gorąco swojego opiekuna, aby wsiedli do dorożki i szukali owego hotelu, w którym nocowali rodzice. Meriadec nie mógł tego uczynić, bo zamało było na to czasu, więc wytłómaczył chłopcu, że kupi mu ubranie, a potem z rodzicami się policzy. Chłopiec niechętnie przyjął tę propozycyę i rzekł:

— Nie mogę przecież od pana przyjmować podarunków, nie jesteś pan moim krewnym.

— Proszę być spokojnym, kochany panie Szasza, boć to przecież nie podarunek, tylko pożyczka, którą mi rodzice zwrócą.

To zachowanie się chłopca utwierdziło barona w przekonaniu, że pochodził z rodziny zamożnej, arystokratycznej. Nareszcie chłopiec dał się nakłonić i szedł bez oporu za swoim opiekunem. Ożywił się też cokolwiek i rozmawiał z baronem swobodnie. Opowiedział mu, że mieszkają koło Tuły, w majątku Weria, że matka jego nazywa się właściwie Xenia Konstantynowa, ale że jego właściwy ojciec już nie żyje, a matka ma drugiego męża, który nie jest ani hrabią, ani nawet szlachcicem.

— Pewnie tam bardzo wesoło w majątku rodziców? W Rosyi jest ożywione życie towarzyskie.

— Dawniej tak bywało, ale teraz nikt u nas nie bywa.

— Rodzice dużo podróżują za granicą?

— Ojczym wciąż prawie za granicą przebywa, ale mama rzadko kiedy wyjeżdża, tylko wciąż zajmuje się zarządem dóbr.

— A gdzież to pan Szasza tak doskonale nauczył się po francusku.

— U nas prawie wszystkie dzieci w szlacheckich domach uczą się po francusku, a ja może więcej umiem od innych, bo ojczym z moją mamą tylko po francusku rozmawiali.

— A ojczym nie jest Rosyaninem?

— Ja nie wiem. Stary Mikołaj Trofimowicz raz się pogniewał na ojczyma i wygadywał brzydko, bardzo brzydko, a ja przypadkowo usłyszałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. WILCZKOWSKI.

Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chcą.

2 HUMORESKA (Ciąg dalszy).

— Wszystko jedno — odrzekł Strzycki — bym tylko nie męczył się podczas rzeczywistej podróży bardziej, niż wczoraj, gdym marzył, że o kilkanaście węzłów odjechałem od lądu. Choć na morzu, o ile przypuszczam, lepiej niż na stałym lądzie, gdyż nie tylko wyżeł, lecz nawet najbardziej kochająca żona nie trafi po śladzie.

— Chorować nie będziemy, jeżeli weźmie się z sobą odpowiednią do wymagań chwili ilość koniaku i śliwek suszonych. Mając zaś na względzie to, coś mi pan po czwartej szklance grogu wczoraj powiedział, pamiętałem i o sobie i o panu. Spieszmy się jednak, gdyż za godzinę parowiec kiwnąć ma ogonem Europie na pożegnanie.

— — — — — — — — — — —

Kołyszący się zwolna na falach parowiec porównać można do korka, rzuconego w napełnioną wodą miednicę, w tym tylko wypadku, jeżeli człowieka, króla stworzenia, porównamy do pchły. Strzyckiemu zdawało się, gdy wchodził po przyczepionych z boku schodkach okrętowych, że mniej nawet znaczy, niż pchła, gryząca przeciętnego proletaryusza.

Wdrapawszy się w dosłownem tego słowa znaczeniu na pokład, spojrzał i machinalnie chwyciwszy Kentleya za rękę, jęknął...

— Kodak w kieszeni, pokład pod nami, a w górze Bóg — szepnął Kentley. — Jeżeli nawet źle będzie, to pociesz pan się tem, że już chyba do swej żony nie wrócisz... Ja zaś chciałbym zobaczyć swego stryja po raz pierwszy, a w jakim go zastanę stanie, to także rzecz nie moja, lecz Opatrzności.

Poruszyć z miejsca narowistego konia stokroć łatwiej, niż bezduszną, a ogromem 22.000 sił koni parowych (HP) liczoną machinę. Długo jęczy, długo sapie, nim wreszcie posunie się naprzód. Olbrzym kołysze się powoli, oddycha ciężko, dając poznać ludziom ogrom wysiłku.

Emigranci, zapełniający górny pokład, cisnąc się do okalających go balustrad, modlą się lub też przy akompaniamencie harmonij i skrzypiec śpiewają ludowe piosenki.

Kentley pociągnął przyglądającego się „górnym“ sferom Strzyckiego.

— Chodź pan, trzeba żebyś pan wiedział, którą zajmujemy kajutę. Ja na górze, pan na dole... Dobrze?

— Jak pan chcesz, tak będzie dobrze, lecz panie, mnie już mdli...

— Ależ jeszcze kotwicy nie podniesiono!

— Być może, ale kotwica nie tkwi w moim żołądku, więc należycie tego odczuć nie mogę. Czuję natomiast straszną pustkę, którą radbym czemś zapełnić. Chodźmy więc.

Gdy weszli do kajuty, opatrzonej okrągłem okienkiem, Strzyckiego zdjął lęk... Przypomniał sobie, że kiedyś w dzieciństwie łapał muchy i chował je w pudełka od zapałek...

Kentley sięgnął do sakwojaża, wydobył z niego butelkę koniaku i szklankę.

— Nie tak cieszę się z tego, że odnalazłem stryja, pomimo to, iż ojciec mój, jak mi opowiadał, był jedynakiem, jak z tego, że mam towarzysza podróży w panu. A że kocham swego nieznajomego stryja, niech dla pana będzie dowodem to, że przed spotkaniem się z panem, wysłałem depeszę do pana Johna Craydland, adwokata w New-Yorku, iż jadę na Stelli. W razie potrzeby może mi przysyłać wiadomości za pomocą telegrafu bez drutu. I o pańskie zdrowie dbałbym tak, jak o zdrowie stryja, gdybyś mi pan, podobnie jak on, zapisał sześć i pół miliona dolarów.

Podzielony smutek jest połową nieszczęścia, a podzielona radość podwaja się. Gdy dowiemy się jednak o odziedziczeniu przez kogoś spadku, mimowoli zazdrościmy mu. Ułomności natury ludzkiej przypisać to chyba tylko można, że każdy woli widzieć we własnej kieszeni rubla, niż w cudzej milion...

Strzycki zaczął więc w duszy zazdrościć Kentley'owi, choć udawał, że cieszy się ze szczęścia, które jego nowego przyjaciela spotkało. A Kentley'owi posłużyło to za powód do odkorkowania nowej butelki koniaku.

— Jesteśmy już, kochany panie Strzycki, o 833 lądowych wiorst i 132 morskich węzłów od Warszawy, a gdybyś pan teraz nawet i chciał, to z tego miejsca nie wrócisz już do swej żony, by podstawić głowę pod moździerz, lub samowar...

Smutno zrobiło się Strzyckiemu na to wspomnienie, bo do wszystkiego człowiek przyzwyczaić się może, ba, nawet do własnej żony, choćby ta wzorem austryackich deputowanych przekonania swoje wpajała za pomocą pięści, osuszał więc kieliszki i szklanki, by według rady Kentley'a uspokoić wzburzone nerwy.

Nim się opamiętali, nastąpił wieczór cichy, tak cichy, jak tylko na oceanie być może. Prócz zgrzytu śruby, prującej fale, nic słychać nie było. Długa smuga światła znaczyła ślad, którędy przepływał kadłub olbrzyma, niosącego w sobie setki wychodźców.

Wyszli na pokład, a świeże powietrze rozmarzyło ich do reszty. Zaczęli opowiadać jeden drugiemu swe dzieje i pocieszać się nawzajem. Kentley'owi zrobiło się gorąco. Wypił dużo, lecz wmówił w Strzyckiego, że najlepszym środkiem na ochłodzenie jest limoniada imbirowa (Ginger Limonade). Zeszli więc znów do kajuty i kazali ją sobie podać.

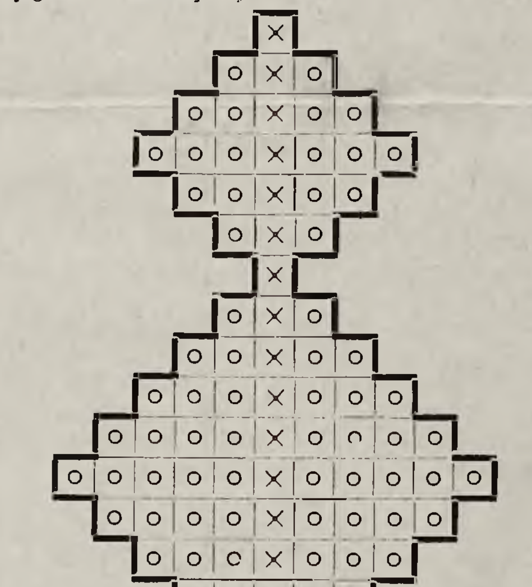
(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody

Logogryf.

Ułożył H. Kowalski z Mogiły.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko polskiego poety i jeden jego utwór dramatyczny.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Roślina. 3. Instrument muzyczny. 4. Jedna z wysp sundajskich. 5. Imię żeńskie. 6. Rzeka w Rosyi 7. Samogłoska. 8 Płynny lód. 9. Imię męskie 10. Kwiat. 11. Przedmieście Londynu. 12. Wódz polski z XVII. wieku. 13 Miara używana do mierzenia wiatru. 14. Miasto w Bośni. 15. Potrawa. 16. Wódz japoński. 17. Samogłoska. 18. Wykrzyknik. 19. Roślina. 20. Rzeka w Ameryce północnej. 21. Inaczej ozdobnie. 22. Książęcy ród niemiecki. 23. Utwór Przybylskiego. 24. Powieść Kraszewskiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 26.

Szarada.

Kon-stan-ty-no-pol.

Zagadka literacka.

Gatunek, reumatyzm, uszko, styr, zaKon, ebro, czechy, katorga, Irysy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Opolska Czarny Dunajec, R. Wiśniewski Kraków, Cellerin Bukowsko, Kasyno Mikołajów n. D., B. Seroczyński Czerwony Bór, W. Lipiński Kraków, K. Fuchs Czeremchów, A. Huppmann Kraków, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, J. Badura Rożdzień, F. Niepokój Krosno, Zdzisław Lipiński Monachium, Emil Höhr Warszawa, Paulina Drzewiecka Lwów, J. Galiński Stanisławów, St. Gajdeczko Huta różan., J. Kierska Truskawiec, M. Ostrowski Warszawa, H. Kowalski Mogiła, K. Karatnicki Worochta, K. Jasiński Kraków, E. Bogusz Lubasz, A. Nikisiewiczowa Krzywe, M. Legotke Warszawa, M. Różański Libusza, Tow. »Jedność« II Oddział Łazy, Ks. J. Mamak Kubałowice, Fr. Kośmider Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Zdzisław Lipiński w Monachium. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Za dobre rozwiązanie powyższego logogryfu przeznacza Redakcya wspaniałą powieść W. Gąsiorowskiego p. t. »Pani Walewska«.